NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 22 kwietnia 1911. Nr. 16.

Wybuch w ambulansie.

(Treść na str. 2).



Nr. 16. „Nowości illustrowanych" zawiera: Zgon zasłużonego księcia Kościoła. — Powstanie Albańczyków. — Rozruchy „szampańskie". — Jubileusz historyka. — Starodawny most. — Dziwo natury. — Olbrzymia kołatka. — Budowa nowego dworca towarowego w Krakowie. — Wystawa wyrobów wschodnich we Lwowie. — Związek artystów i artystek polskich. — Organizacya personalu hotelowego. — Benefis cenionego muzyka. — Pogrzeb artysty. — Odznaczenie austryackiego dyplomaty. — Koncert pianistki polskiej w Paryżu.

Wybuch w ambulansie.

(Do illustracyi tytułowej.)

Praca pocztowych urzędników ruchu jest u nas wogóle ciężka, gdyż ilość personalu zwykle nie odpowiada rzeczywistym potrzebom, jest też bardzo odpowiedzialna i wymaga ogromnej uwagi i przytomności umysłu. A już najbardziej wytężającą pracę



Wybuch w ambulansie: Ś. p. Władysław Strzelbicki.

mają ci pocztowi urzędnicy, którzy odbywają służbę w ambulansach pocztowych przy pociągach, bo są ponadto narażeni na wypadki, jakie tak często na kolejach się wydarzają. Wielu też urzędników pocztowych przypłaciło życiem a conajmniej zdrowiem rozmaite katastrofy kolejowe, jakie w ostatnich latach w kraju naszym się wydarzyły.

Swieżo zaszedł na dworcu w Krakowie tragiczny wypadek, którego ofiarą padło życie urzędnika pocztowego w czasie spełniania urzędowych obowiązków.

Wypadek zaszedł w nocy na tak zwanym torze pocztowym, tuż obok dworca północnego, przy przeładowywaniu przesyłek cłowych. W ambulansie pocztowym zajęty był kontrolor pocztowy Władysław Strzelbicki, dwu woźnych oraz robotnik pocztowy. Nagle wskutek silniejszego uderzenia o jeden z pakietów, zawierający materyał wybuchowy, nastąpiła silna eksplozya; gwałtowna detonacya zaalarmowała personal kolejowy, który pośpieszył z pomocą. Pomoc była istotnie potrzebna, bo kontrolor Strzelbicki doznał silnego wstrząsu nerwowego a jeden z robotników, wyrzucony siłą wybuchu z wagonu, odniósł bolesne obrażenia, nadto wybuch spowodował pożar wewnątrz wagonu. Przy pomocy nadbiegłego personalu kolejowego i pocztowego zdołano pożar wnet ugasić, poczem zajęto się opatrzeniem rannego robotnika.

Wobec tego, że szkoda, wyrządzona wybuchem i pożarem okazała się nieznaczną, wydawało się, że wypadek ten nie będzie miał poważniejszych następstw. Niestety wstrząs nerwowy, jakiego wskutek eksplozyi doznał kontrolor Strzelbicki, był znacznie silniejszy, niż zrazu się wydawało. Następnego dnia uległ też nieszczęśliwy ciężkiej chorobie i zakończył życie.

Zgon przedwczesny dzielnego urzędnika, lubianego ogólnie z powodu swych zalet, zgon wśród tak tragicznych okoliczności, wywołał szczere współczucie i żal.

Nasza rycina tytułowa przedstawia chwilę wybuchu w ambulansie pocztowym na dworcu krakowskim.

Zgon zasłużonego księcia Kościoła.

W pierwszej połowie bieżącego miesiąca zmarł w Zytomierzu na Wołyniu ks. Karol Antoni Niedziałkowski, rzymsko-katolicki biskup dyecezyi łucko-żytomierskiej, zasłużony kapłan obywatel i wybitny literat.

Urodzony w r. 1846 w Mieńkowcach na Wołyniu, uczęszczał początkowo do gimnazyum w Łucku, następnie w Kamieńcu Podolskim i ukończył je w r. 1862. Czując powołanie do stanu duchownego, wstąpił do seminaryum kamienieckiego, potem do akademii duchownej w Petersburgu, którą opuścił ze stopniem magistra św. teologii. Wyświęcony na kapłana w r. 1869, rozpoczął działalność duszpasterską zrazu w archidyecezyi warszawskiej, później mohylewskiej. Przez szereg lat profesor seminaryum żytomierskiego, a od roku 1891 jego rektor, przeszedł w r. 1897 na stanowisko rektora akademii duchownej w Petersburgu i został prekonizowany na biskupa sufragana mohylewskiego przy sędziwym metropolicie Szymonie Kozłowskim. Po jego śmierci jeszcze pewien czas administrował także tą olbrzymią archidyecezyą.

Gdy w r. 1901 powołano dotychczasowego biskupa łucko-żytomierskiego, ks. Kłopotowskiego, na katedrę metropolitalną, ksiądz Karol Niedziałkowski powraca w rodzinne strony i obejmuje 8-go kwietnia rządy dyecezyi, które przez dziesięć lat sprawuje z nadzwyczajną gorliwością, zwracając głównie uwagę na rozwój prasy katolickiej, na podniesienie poziomu umysłowego kapłanów i oświaty wśród ludu. Praca to była wytężająca, podkopała też słabe zdrowie. W ostatnich czasach zamierzał ś. p. ks. biskup Niedziałkowski wyjechać celem porady za granicę, obło-



Zgon zasłużonego księcia Kościoła: Biskup łucko-żytomierski ś. p. ks. Karol Antoni Niedziałkowski.

żna jednak choroba przeszkodziła temu i położyła przedwcześnie kres jego zasłużonemu żywotowi.

Szereg rozpraw dłuższych, niezależnie od krótszych artykułów, broszur apologetycznych i polemicznych, podpisywanych zazwyczaj pseudonimem „Rawicza", uczynił jego imię powszechnie znanem i cenionem we wszystkich sferach naszego społeczeństwa. Ogłosił je w w książkach p. t. „Miraże mądrości", „O chrześcijańską zasadę", „Poganizm i chrześcijaństwo". Zwłaszcza studyum w kwestyi emancypacyi kobiet: „Nie tędy droga szanowne panie", walczące z anti-chrześcijańskim kierunkiem w ruchu emancypacyjnym, wywarło wielkie wrażenie



Zgon zasłużonego księcia Kościoła: Ks. Wincenty Kluczyński, arcybiskup-metropolita mohylowski.



Zgon zasłużonego księcia Kościoła: Ks. Longin Żarnowiecki, biskup-sufragan żytomierski.

zarówno podniosłością idei, jak i przekonywującą siłą talentu pisarskiego. Zasilał też pracami swemi warszawską „Rolę“ i „Przegląd katolicki“, kijowski tygodnik „Kresy“ i wiele innych czasopism; jego poparciu i współpracownictwu zawdzięcza swe powstanie, zawieszony dziś tygodnik literacko-naukowy „Głos katolicki“.

Pogrzeb ś. p. biskupa Niedziałkowskiego odbył się w Żytomierzu w dniu 12 kwietnia, przy nadzwyczaj licznym udziale duchowieństwa i ludności katolickiej, żałującej serdecznie swego arcypasterza. Jako następców na osieroconej katedrze biskupiej wymieniają: obecnego biskupa sufragana ks. Żarnowieckiego lub też ks. biskupa Kluczyńskiego.

Cześć pamięci zasłużonego kapłana!

Jubileusz historyka.

W roku bieżącym upływa pięćdziesięciolecie działalności literackiej i obywatelskiej Aleksandra Kraushara, wybitnego adwokata warszawskiego i historyka, którego prace przyczyniły się do wyjaśnienia niejednej zawiłej kwestyi historycznej.

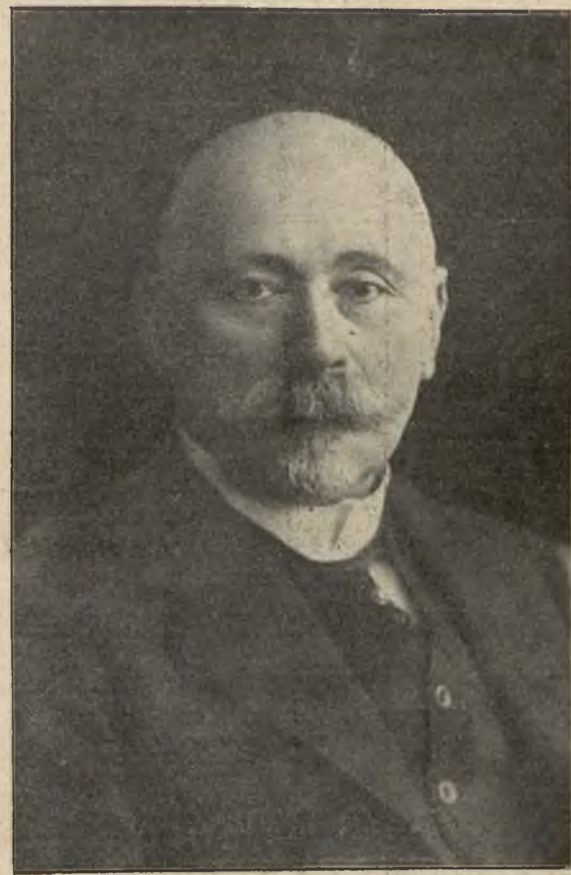
Aleksander Kraushar, urodzony 1840 r. w Warszawie, ukończywszy wydział chemiczny gimnazyum realnego, studyował następnie prawo w Szkole Głównej, którą ukończył 1866 r. ze stopniem magistra prawa i administracyi. Po odbyciu aplikacyi w sądach miejscowych, został następnie obrońcą a potem adwokatem przysięgłym okręgu sądowego warszawskiego.

Równocześnie studyował pilnie historyę a owoce swych prac naukowych drukował w rozmaitych pismach literacko naukowych. W uznaniu zasług, położonych na polu historyi, powołano go na członka Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu i komisyi historycznej Akademii umiejętności w Krakowie.

Po za drobnemi pracami, drukowanemi w pismach peryodycznych, ogłosił Kraushar cały szereg prac większych, z których kilka przynajmniej należy wymienić, jak „Sprawa Zygmunta Unruga“, „Barbara Brezianka“, „Burboni na wygnaniu“, „Drobiazgi hi-



Powstanie Albańczyków: Widok miasta Skutari, które powstańcy usiłują zdobyć.



Jubileusz historyka: Aleksander Kraushar.



Powstanie Albańczyków: Scena z ostatnich zajść na Bałkanie.



Groźny wulkan: Wezuwiusz w czasie wybuchu.

storyczne“, „Historya żydów w Polsce“, „Palestra staropolska“, „Książe Repnin i Polska“ i wiele, wiele innych.

Mąż szczerego patryotyzmu, niestrudzony pracownik, uczciwy człowiek, umiał Kraushar wzbudzić powszechne, wysokie uznanie dla swej rzetelnej, płodnej i wielostronnej pracy a szczerą sympatyę dla swego charakteru.

Wychowanek Szkoły Głównej warszawskiej, był Kraushar zawsze wybitnym przedstawicielem jej pięknych tradycyi. Zapatrzony w ideał jaknajwiększej użyteczności dla społeczeństwa, cały swój dotychczasowy żywot skupiał w wytężonej służbie Narodowi. Umiał utrzymać wybitną jedność usiłowań, która się objawiała naprzód w jego żarliwych, patryotycznych zabiegach w dobie kryzysu narodowego, a potem jaśniała w jego rozległej pracy literackiej i historycznej, świadczącej o gorącem, serdecznem umiłowaniu przeszłości narodowej wogóle a Warszawy w szczególe.

Z okazyi też pięćdziesięciolecia ofiarnej pracy otrzymał czcigodny Jubilat sporo dowodów i wyrazów czci i uznania, do których i my się dziś przyłączamy.



Starodawny most: Most na rzece Jordanie obok Jerozolimy, pochodzący podobno z przed 2000 lat.



Rewolucya „szampańska: Pochód zbuntowanych winiarzy przez ulicę jednej z wsi w okręgu szampańskim.

Olbrzymia kołatka.

Ostatnie trzy dni Wielkiego tygodnia są dniami ogólnej żałoby w całym świecie chrześcijańskim. Okres ten poświęcony jest rozpamiętywaniu męki Pańskiej. Z tego powodu osłania się czarnym kirem wszystkie lśniące ozdoby wewnątrz kościołów, księża odprawiają msze w czarnych ornatach a nadto milkną w te dni dzwony i dzwonki, milkną organy.

Zamiast dzwonków używa się w tym czasie podczas mszy świętej kołatek, zwanych w Krakowie „trajkotkami“, przyrządu, wydającego przy obrocie suchy trzask. Dzwonów na wieży dziś oczywiście kołatki, zwłaszcza w większych miastach, zastąpić nie mogą, gdyż odgłos ich ginie w gwarze wielkomiejskim bez śladu, tembardziej że i zmysł słuchu jest przeważnie u mieszkańców miast, przywykłych do nieustannego hałasu, znacznie przytępiony.

Jedynie jeden z kościołów w Pradze czeskiej, położony w tak zw. „Malej Stranie“, posiada kołatkę tego rodzaju rozmiarów, iż odgłos jej może w pewnym stopniu zastąpić dźwięk dzwonów. Na wieży wspomnianego kościoła znajduje się mianowicie starodawna, drewniana skrzynia kołatkowa, dużych rozmiarów, którą zapomocą korby wprawia się w ruch i która wcale donośnie terkocze, tak że odgłos jej można słyszeć w dalekim promieniu.



Olbrzymia kołatka: Sygnalizowanie południa z wieży kościoła na „Malej Stranie“ w Pradze, zapomocą olbrzymiej kołatki drewnianej.



Powstanie Albańczyków: Issa Boletinaz, przywódca Albańczyków.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

21

(Ciąg dalszy).

XXXI.

Wychodząc z sali rozpraw wraz z innymi świadkami, spostrzegłem jakiegoś człowieka, stojącego obok prokuratora. Był to bardzo niepozorny człowiek, który innym razem zapewne nie zwróciłby mojej uwagi — teraz jednak nietylko spojrzałem, ale nawet obejrzałem się na niego, wychodząc z drzwi sali.

Dowiedziałem się później, że to był Sweetwater, detektyw z Nowego Yorku, który z takim trudem zebrał poszlaki przeciw Arturowi — poszlaki, które w świetle zeznań najnowszego świadka zupełnie inne zyskały znaczenie — co on sam z pewnością uznał. Uderzył mnie wyraz jego twarzy, na której zawód detektywa z profesyi, mieszał się z ludzkiem i profesyonisty zaciekawieniem wobec niespodzianej sytuacyi. Gdyby nie to, przejęty tem wszystkiem, co zaszło, niebyłbym zapewne zauważył obcego całkiem człowieka.

Gdy odchodziłem, rozmawiał jeszcze z panem Foxem. Udało mi się później dowiedzieć treści rozmowy, jaką w chwilę później prowadzili on, mr. Fox i dr Perry.

— Czy ta dziewczyna mówi prawdę? — zapytał prokurator Fox, gdy ci trzej zamknęli się razem i otwarcie mogli mowić to, co myślą. — Doktorze, jak pan sądzi?

— Ja ani nie wątpię, że ona prawdę mówi. Kobieta, która dla względów czysto moralnych może narazić się na ból i utratę tak niezwykłej urody, nigdyby się nie poniżyła do kłamstwa, nawet dla uratowania życia bratu. Ja mam do niej pełne zaufanie, Fox i ty również możesz je mieć.

— Wierzysz, że ona sparzyła się rozmyślnie?

— Nie mogę temu odmówić wiary; będziesz mnie może uważał za sentymentalnego; ale ja znałem i kochałem jej ojca...

— Przypuśćmy, żeś nie znał jej ojca; przypuśćmy, że nie więcej interesuje cię ta dziewczyna i cała ta sprawa, niż samych sędziów przysięgłych? Co wtedy...

— Jeszczebym jej uwierzył przez ludzkość serca, choćby dlatego, że to takie szczęście daje znaleść coś szczerego i silnego w tem brudnem codziennem życiu — jak gdyby klejnot w śmietniku. Och tak, uczuciem się rządzę, przyznaję.

Mr. Fox zwrócił się do Sweetwatera:

— A pan?

— Panie Fox, czy pan ma te szczypce?

— Tak, zapomniałem; przyniesiono je do mojego biura, razem z innymi przedmiotami. Nie przywiązywałem do nich wagi i znajdziesz je pan tam, gdzie je wrzuciłem, w pudle, oznaczonem „Cumberland".

Znajdowali się w biurze prokuratora, to też Sweetwater wstał od razu i wydostał szczypce.

— Oto moja odpowiedź — rzekł, znacząco wskazując na jedną z nóżek.

Prokurator pobladł i dał znak Sweetwatorowi, by zabrał szczypce z powrotem. Siedział chwilę milczący, poczem oświadczył:

— Mam wysoki szacunek dla miss Cumberland.

Sweetwater wrócił na swoje miejsce.

Dr Serry czekał.

Ostatecznie mr. Fox zwrócił się do niego i stawił przewidywane pytanie:

— Czy jesteś pewien wyniku sekcyi? Czy śmierć miss Cumberland przypisać należy istotnie uduszeniu, a nie owej truciźnie, którą zażyła?

— Ja już to zaprzysiągłem i zaprzysiągłbym po raz drugi, gdybyś mnie powołał na ławę świadków. Trucizna, przy wielkiem jej podnieceniu zresztą, pozbawiła ją przytomności, ale za mało jej było, albo też za stara była i przez to za mało skuteczna, ażeby śmierć spowodować. Miss Cumberland byłaby prawdopodobnie po pewnym czasie zbudziła się do życia: być może nawet, że się zbudziła. Jednakże ucisk tych palców był zabójczy, tego ona przeżyć nie mogła. Nawet nie wiesz, ile mnie kosztuje, że to powiedzieć muszę, ale takie pytania, jak twoje, wymagają odpowiedzi. Nie byłbym uczciwym człowiekiem, gdybym nie odpowiadał szczerze i sumiennie.

Sweetwater poruszył się na swojem miejscu. Mr. Fox odwrócił się i przyjrzał mu się bacznie.

— Niech pan mówi — rzekł.

Ale Sweetwater nie miał nic do powiedzenia.

Ani dr. Perry tem mniej. Wszystkich gnębiła ta nie rozwiązana zagadka i odpowiedzialność za splątane z nią losy ludzkie.

Ku uspokojeniu wszystkich, Karmela silniejszą się czuła fizycznie, niż przypuszczaliśmy, gdy wróciła na ławę świadków w godzinach popołudniowych. Utraciła jednakże trochę odwagi. Straciła nadzieję, że oczyści brata jednem słowem, straciła też pełne nadziei podniecenie.

Mr. Fox nie kazał długo czekać na siebie. Z uprzejmością, jaką rzadko okazywał świadkom ze strony obrony, zaczął dalszy ciąg badania następującem pytaniem:

— Miss Cumberland! W sprawozdaniu z ostatniego pani widzenia się z siostrą, wspomniała pani o pewnej powiastce, którą niegdyś razem czytałyście. Czy mogłaby nam pani podać tytuł tej powiastki?

— Zatytułowane to było: „Legenda o Franciszku I". Nie była to powiastka, tylko krótkie opowiadanie, które Adela znalazła w jakimś starym miesięczniku. Zrobiło ono na nas wielkie wrażenie; ja tego nigdy nie zapomniałam.

— Czy może nam pani treść w kilku słowach opowiedzieć?

— Owszem. Było to bardzo proste opowiadanie. Mowa tam była o młodej dziewczynie, która zeszpeciła swoją urodę, ażeby uniknąć zalotów króla i o tem, jak król ją potem zawsze szanował, nawet ją siostrą swoją nazywając.

Głos jej zadrżał — a to drżenie echem ozwało się w mojem sercu. Jakiś prąd odczucia i sympatyi przebiegł po raz pierwszy od niej ku mnie. Widząc niewinność jej oczu, słysząc jej słowa, zrozumiałem ostatecznie, że krzywdziłem ją przypuszczeniami mojemi — to też gdybym mógł, byłbym jej do stóp padł w tej chwili.

Oczy widzów tymczasem, rozumiejąc sytuacyę, pobiegły od jej twarzy ku mojej i wszyscy, zapominając o obwinionym, skupili uwagę na tej tragedyi dusz, tak okrutnie odsłonionej przed ciekawością tłumu.

Nie mogłem tego znieść. Na szczęście mr. Fox położył kres mojej męce, zwracając się do świadka z bardzo doniosłem zapytaniem:

— Trzymając ręce siostry w swoich w chwili jej domniemanego zgonu, czy zauważyła pani, czy zmarła miała na palcu ten oryginalny pierścionek, który jej dał mr. Ranelagh, jako pierścionek zaręczynowy?

— Tak jest — ja go nietylko widziałam, ale czułam. Nie miała innego pierścionka na lewej ręce.

Prokurator zamilkł na chwilę. Może on sam się tej odpowiedzi nie spodziewał, a teraz pragnął, żeby ją sędziowie dobrze zapamiętali.

A więc Adela sama nie zdejmowała pierścionka; był jeszcze na jej palcu na chwilę przed śmiercią. Straszny fakt, przemawiający przeciw Arturowi! Mimowoli spojrzałem na niego. I on patrzył na mnie. Spotkały się nasze spojrzenia. Myślałem o nim, on o mnie... Wzruszenie było ogólne — jedna tylko Karmela była spokojna; może nie rozumiała znaczenia tej chwili.

Mr. Fox badał dalej.

— A gdy pani wstała i układała ręce siostry?

— Był wciąż na jej palcu; ja tę rękę ułożyłam na wierzchu.

— I nie zdjęła pani pierścionka?

— Nie, ależ nie! — I twarz jej i cała postawa wyrażały przeczenie.

— Tak, zdaniem więc pani ten pierścionek był wciąż jeszcze na ręku siostry, gdy pani wychodziła z pokoju?

— Z największą pewnością, panie!

Teraz lęk brzmiał w jej głosie; zaczynała rozumieć, że jej zeznania nie ze wszystkiem korzystne są dla Artura. Bezradna, błagalnie spojrzała na obrońcę brata. On jednakże, pilnie zajęty ołówkiem i papierem, nie dodał jej otuchy; chyba ze spokojnego jego zachowania i obojętnej miny wykrzesać mogła tę odrobinę otuchy. Nie wiedziała — ani ja jeszcze wtedy nie rozumiałem — ile niepokoju kryć się może pod takim pozorem.

Mr. Fox widział jej spojrzenia i może lepiej rozumiał przeciwnika, niż ona, gdyż wyprostował się z zadowoleniem i pytał dalej bardzo spokojnie:

— Czem pani rozniecila ogień na kominku?

— Drzewem z koszyka i trochą drobnych drzazg, które tam były.

— A te drzazgi czem pani rozpaliła?

— Kawałkami papieru, które przyniosłam ze sobą w torebce.

— A więc przyniosła pani ze sobą papier?

— Tak. Widziałam drzewo, ale wiedziałam, że drzewa nie rozpalę bez papieru. To też przyniosłam to z domu.

— Czy ogień prędko się rozpalił?

— Nie bardzo prędko.

— Miała pani z tem kłopot?

— Tak panie. Ale ostatecznie rozpaliłam ogień.

— Czy pani w domu zwykła często rozpalać ogień?

— Tak, na kominku.

— I umie pani to robić?

— Uważałam zawsze, że to bardzo łatwo, byleby mieć papier i dosyć drzazg na podpałkę.

— I jeżeli przeciąg jest dobry.

— Tak, panie.

— A w tym pokoju piec ciągnął dobrze?

— Z początku nie.

— Ach, więc nie. Kiedyż pani zauważyła, że jest lepiej?

— Kiedy kartka, którą chciałam spalić, uleciała w górę.

— Rozumiem. Czy to nastąpiło, zanim się drzwi otworzyły, czy potem?

— Potem.

— Czy otwarcie drzwi wpłynęło na temperaturę pokoju?

— Nie umiem powiedzieć; wogóle nie czułam, ani czy jest zimno, ani czy gorąco.

— Nie czuła pani mroźnego chłodu, gdy pani otwierała okno w garderobie celem wyrzucenia buteleczki?

— Nie pamiętam.

— Możeby pani pamiętała, gdyby go pani poczuła?

— Tego nie wiem.

— Czy może pani powiedzieć, czy poczuła pani większy chłód w sieni, gdy pani szła do telefonu?

— Zęby mi szczękały, ale...

— A przedtem, czy szczękały?

— Być może; ja to dopiero wtedy zauważyłam, ale...

— O same fakta chodzi, miss Cumberland. Zęby pani szczękały, gdy pani szła przez sień. Czy to trwało dalej, gdy pani weszła do pokoju, gdzie był telefon?

— Nie pamiętam; ja wtedy nic prawie nie czułam.

— Nie pamięta pani, czy zęby pani szczękały?

— Nie, panie, nie pamiętam.

— Ale pani pamięta, że pani drzwi zamknęła za sobą?

— Tak jest.

Otwarte okno w sieni! Tego chciał dowieść, że było wtedy otwarte. Sądząc po wyrazie twarzy sędziów, zdawało się, że tego dowiódł.

Następne dociekanie przeprowadzał podobnie. Zapytał, czy przez ten cały czas, gdy była w budynku klubowym, słyszała jakie odgłosy, którychby wytłómaczyć sobie nie umiała.

— Tak jest, niejednokrotnie.

— Czy może pani opisać te odgłosy?

— Nie, były bardzo rozmaite. Najpierw sosny szumiały ciągle; wiedziałam że to sosny, a jednak musiałam słuchać. A raz posłyszałam jakiś odgłos posuwania — wtedy właśnie na chwilę ucichły sosny — ale nie wiem, co to było. To wszystko było takie straszne...

— Czy ten odgłos posuwania był taki, jaki mogło wydawać okno, gdyby je kto otwierał?

— Być może. Ja wtedy o tem nie pomyślałam, ale być może, że to tak brzmiało.

— Skąd ten odgłos płynął?

— Z tyłu, gdyż obróciłam głowę.

— Gdzie się wtedy pani znajdowała?

— Przy kominku. To było, zanim Adela weszła.

— Bliski to był odgłos, czy też daleki?

— Daleki, ale nie umiem określić bliżej, skąd szedł — doprawdy nie umiem. Zapomniałam o tem zaraz.

— Ale teraz przypomniała sobie pani?

— Tak jest.

— A czy teraz nie przypomina pani sobie żadnych innych odgłosów, prócz tych, o których pani mówi? Wtedy, kiedy pani wychodziła do sieni — pani wie, wtedy, kiedy to pani zęby szczękały — czy pani nic innego nie słyszała, oprócz szumu sosen?

Po twarzy jej przemknął wyraz lęku. Podniosła ręce, jedną z nich chwyciła się za gardło, potem opuściła ręce i zwolna... ostrożnie... jak gdyby po omacku drogi szukając, odpowiedziała:

— Zapomniałam. Słyszałam coś, jakiś odgłos pod któremiś drzwiami. Był to bardzo słaby odgłos... jakby coś... ja sama nie wiem, co. Nic mi to nie nasunęło wtedy i teraz także nie. Ale pan pytał, więc odpowiadam.

— Słusznie, miss Cumberland. Sędziowie powinni znać te fakta. Czy to było ludzkie westchnienie?

— To nie był szum sosen.

— I to się odezwało pod któremiś drzwiami? Pod któremi mianowicie?

— Pod temi naprzeciw pokoju, gdzie zostawiłam siostrę.

— Tam są drzwi od wielkiej sieni?

— Tak, panie.

O, straszne wspomnienia! Toż ja sam stałem także w tem miejscu już po jej przejściu tamtędy, Bogu dzięki, chociaż niedługo potem. A ktoś tam był przedemną! Ale kto? Czyżby Artur? Nie śmiałem spojrzeć na jego twarz, a gdy wreszcie spojrzałem, ujrzałem na niej tylko spokój zupełnie opanowanego człowieka... Zacząłem odczuwać straszną wątpliwość... Wobec tego, że Karmela jest niewinną, któż może być winnym, jeśli nie on? Udręka, która mną szarpała, zelżała tylko, nie ustąpiła zupełnie. Jeszcze nas czekają cięższe przejścia. Prokuratorya gotowa dowieść swego, a wtedy... Ależ Moffet przecież — od czegóż Moffet? Zgotował nam jedną niespodziankę — czyż nie zgotuje nam dalszej?

Spokojniejszy już słuchałem dalej. O co teraz pyta mr. Fox?

— Miss Cumberland, czy pani może zaprzysiądz, że nie słyszała pani równocześnie kroków?

— Nie, panie, nie słyszałam.

— Albo, że nie widziała pani twarzy?

— Nie, panie, nie widziałam.

— Że pani usłyszała tylko westchnienie?

— Westchnienie, czy też coś w tym rodzaju.

— I skutkiem tego pani przystanęła...

— Nie, nie przystanęłam.

— Poszła pani prosto dalej?

— Tak jest, natychmiast.

— I weszła pani do pokoju, gdzie jest telefon?

— Tak.

— I drzwi od tego pokoju pani zamknęła?

— Tak.

— Umyślnie?

— Nie, nieumyślnie.

— Czy sama pani te drzwi zamknęła?

— Nie wiem. Ale prawdopodobnie ja...

— Mniejsza o wyjaśnienia. Pani nie wie, czy pani je sama zamknęła, czy ktoś inny je zamknął?

— Nie wiem.

Słowa to były znaczące. Padały jak groty ludziom w mózgi.

— Miss Cumberland, pani mówiła, że telefonowała pani po policyę.

— Telefonowałam do centrali.

— O pomoc?

— Tak, o pomoc.

— To trwało kilka minut, mówiła pani?

— Przypuszczam, ale nie wiem dokładnie. Swieca wydała mi się krótszą, gdy wychodziłam, niż wtedy, gdy wchodziłam.

A zatelefonowawszy, opuściła pani budynek?

— Wpierw jeszcze poszłam po moją torebkę.

— Czy widziała pani wtedy kogo?

— Nie, panie.

— A słyszała pani kogo?

— Nie, panie.

— Czy jeszcze raz widziała pani siostrę?

— Powiedziałam, że tylko pobieżnie spojrzałam na otomanę.

— Czy leżały tam poduszki?

— Tak, panie.

— Tak samo, jak je pani ułożyła?

— Już powiedziałam, że tego twierdzić z pewnością nie mogę.

— Czy byłaby pani zauważyła, gdyby je kto był poruszył?

— Nie, panie, gdyż tylko raz rzuciłam okiem i to pobieżnie.

— Więc zatem mógł je kto poruszyć i mógł je nawet ułożyć na nowo, a pani mogła tego nie zauważyć?

— Mogło tak być.

— Miss Cumberland, czy pani sama jedna opuszczała klub?

— Tak, sama jedna.

— Czy księżyc wtedy świecił?

— Nie, padał śnieg.

— Czy księżyc wtedy świecił, gdy pani poszła wyrzucić buteleczkę z okna?

— Tak, bardzo jasno świecił.

— Czy dość jasno, by pani mogła widzieć tereny golfowe?

— Nie patrzyłam na tereny.

— A gdzie pani patrzyła?

— Za siebie.

— Co tam było za panią?

— Umarła siostra. — (Ach, któż ten głos opisze!)

— Nic więcej?

— Nic.

— Niech mi pani daruje, miss Cumberland — nie chciałbym pani dręczyć — ale czy nie było tam, oprócz siostry, kogo lub czego w przyległym pokoju, co mogło spowodować, że się pani obejrzała?

— Nie widziałam nikogo, ale obejrzałam się, sama nie wiem, dlaczego.

— I wcale się pani nie odwróciła?

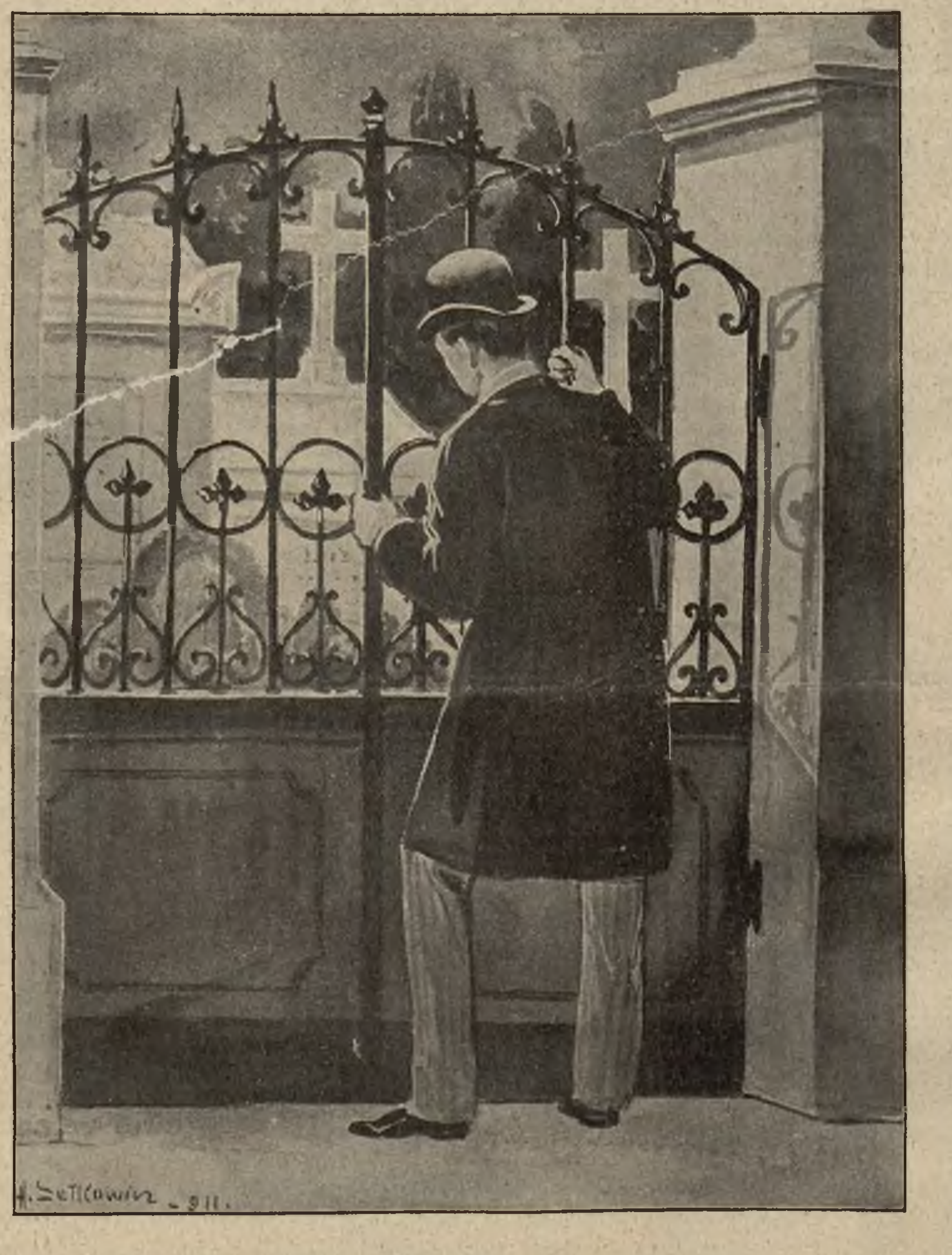
— Zdaje mi się, że nie.

— Wyrzuciła pani buteleczkę, nie patrząc wcale?

— Tak.

— A jak pani mogła wiedzieć, że ją pani wyrzuciła?

— Poczułam, że wypuściłam ją z ręki.



Brama cmentarna była zamknięta.

— Gdzie?

— Nad listwą okna. Otworzyłam okno, zanim głowę odwróciłam. Potem wymacałam listwę, a poczuwszy brzeg, otworzyłam palce.

Chwila tryumfu dla obrony. Przepytywanie na tym punkie wyjaśniło tylko fakt tajemniczy — położenie buteleczki, znalezionej w splotach gałęzi dzikiego wina, tłómaczyło się teraz w sposób bardzo naturalny.

Mr. Fox dochodził dalej:

— Powiedziała pani, że włożyła pani płaszcz i czapkę brata, udając się do klubu. Czy nie zdejmowała pani tych rzeczy ze siebie?

— Przeciwnie, zostawiłam je w dolnej sieni.

— Gdzie w dolnej sieni?

— Tam na wieszadle.

— Czy miała pani zapaloną świecę?

— Nie panie, wtedy nie.

— A jednak znalazła pani wieszadło?

— Odszukałam je po ciemku. Wiedziałam, gdzie się znajduje.

— A kiedy pani zapaliła świecę?

— Już po zdjęciu i powieszeniu płaszcza.

— A gdy pani na dół schodziła? Czy miała pani wtedy świecę?

— Tak, z samego początku. Ale już bez światła szłam po płaszcz i czapkę. Przypominam sobie, że macałam wzdłuż ściany. Nie wiem, co zrobiłam z lichtarzem i ze świecą. Miałam je, idąc po schodach; już ich nie miałam, nakładając płaszcz i czapkę.

Ja wiedziałem, co ona z tem zrobiła. Upuściła je z ręki na marmurową posadzkę. Nigdy nie zapomnę tych ciemności, co pochłonęły wtedy tę twarz, pełną bólu i okropnej grozy.

— Miss Cumberland, pani jest pewna tego, że telefonowała pani po pomoc i że czyniąc to, wspomniała pani o „Szumiących Sosnach"?

— Zupełnie pewna. — O, jakież znużenie czuć było w tym głosie!

— A potem naturalnie zostawiła pani drzwi odemknięte, wychodząc z klubu?

— Nie, nie. Miałam klucz i zamknęłam drzwi na klucz. Ale robiłam to bezwiednie i dopiero idąc odwiązać konia, spostrzegłam, że trzymam klucze w ręku. Ale już nie wróciłam.

— Czy to ma znaczyć, że pani nie wiedziała, że pani drzwi zamknęła na klucz?

— Nie pamiętam, czy wiedziałam to wtedy. Przypominam sobie, że zdziwiłam się i przestraszyłam trochę, spostrzegłszy klucze. Ale już nie wracałam.

— A przecież pani telefonowała po policyę?

— Tak.

— I zamknęła pani drzwi przed nimi?

— Wszystko mi było jedno — wszystko mi było jedno!

Nastąpiło jeszcze bardzo wiele pytań. Biedaczka omdlewała prawie ze zmęczenia, ale trzymała się, jak mogła; rzadko wpadała w sprzeczność i to tylko wtedy, gdy nie rozumiała pytania, albo z nazbyt wielkiego przemęczenia. Mr. Fox był względny, a mr. Moffet rzadko przerywał. Dla wszystkich było widocznem, że ta szlachetna dziewczyna pragnie najszczerzej prawdę zeznawać i wszyscy z nią sympatyzowali, nie wyłączając prokuratora. Trzeba jednakże było rozjaśnić niektóre fakta.

Okoliczności, związane z jej powrotem do domu, przetrząśnięto starannie, nic się jednakże nowego nie dało wykazać, ani też wiarygodność jej jako świadka nie została zachwianą. Prokuratorya straciła wiele przez tego świadka, ale też i zyskała. Nie było już teraz najmniejszej wątpliwości co do faktu, że pierścionek był jeszcze na palcu ofiary w chwili, gdy uległa truciźnie; wahające zaś przyznania Karmeli raczej wzmocniły, niż osłabiły możebność tego, że w fatalnym owym okresie był tam jeszcze obecny ktoś inny.

Tak oto stała kwestya, a ja już się spodziewałem, że przesłuchanie Karmeli ukończone, gdy prokurator znowu przybrał zwykłą przy badaniu pozę i rzucił nowe pytanie:

— Idąc do stajni, celem odprzężenia konia, co pani zrobiła z torebką, którą pani ze sobą miała?

— Wyjęłam ją ze sanek.

— A potem?

— Położyłam ją gdzieś...

— Czy było tam co w tej torebce?

— Teraz już nic. Szczypce zostawiłam w klubie, a papier spaliłam. Nic więcej zresztą nie zabierałam.

— A jakżeż było z lichtarzem?

— Lichtarz miałam w kieszeni od płaszcza. Lichtarz także zostawiłam.

— Czy tylko to miała pani w kieszeni?

— Tak, lichtarz i świecę. Lichtarz włożyłam do jednej kieszeni, świecę do drugiej.

— I tych już pani nie miała z powrotem?

— Nie, zostawiłam i lichtarz i świecę.

— Tak, że kieszenie pani były puste, zupełnie puste, gdy pani wjeżdżała w bramę?

— Tak, panie, o ile wiem, tak. Nie zaglądałam do nich.

— I niczego pani w kieszeniach nie czuła?

— Nie, panie.

— Nic pani z nich nie wyjęła?

— Nie, panie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pogrzeb artysty.

Zmarły w tych dniach artysta teatru Rozmaitości w Warszawie, Seweryn Nowicki należał do ulubieńców publiczności. To też dla oddania mu ostatniej przysługi zgromadziło się kilka tysięcy ludzi. W szczelnie wypełnionym kościele św. Antoniego odprawiono mszę żałobną, podczas której śpiewał chór opery i kilku solistów. Następnie wzięli koledzy ś. p. Nowickiego trumnę na barki i zanieśli ją do czekającego karawanu. Pochód żałobny ruszył ku placowi teatralnemu i zatrzymał się przed okrytym kirem krużgankiem Teatru Wielkiego, z którego popłynęły tony marsza żałobnego Chopina. Gdy ucichły tony muzyki, skierował się kondukt ku rogatkom powązkowskim, gdzie trumnę zdjęli z karawanu i nieśli dalej przyjaciele zmarłego. Przed nią postępowały delegacye teatralne z wieńcami i orkiestra teatru Nowości, grająca marsza pogrzebowego Nideckiego.

Nad grobem wygłosił reżyser teatru Rozmaitości, p. Sliwicki, serdeczną, kilkakrotnie łkaniem przerywaną mowę, w której zaznaczył, że śmierć wyrwała ś. p. Nowickiego z grona pracowników niwy teatralnej przedwcześnie w pełni sił, gdy jeszcze mógł długie lata pozostawać jej ozdobą, że zasłużył na trwałą pamięć i że imię jego zapisane będzie obok imion Żółkowskiego, Królikowskiego i innych.

Załączone zdjęcie fotograficzne przedstawia scenę z pogrzebu ś. p. Nowickiego.



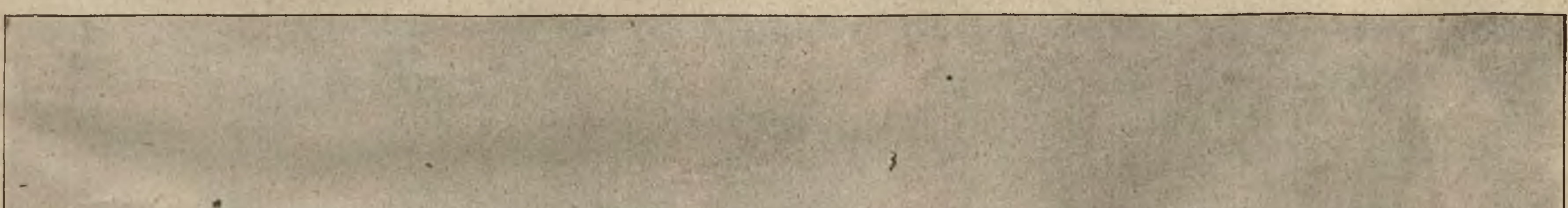
Pogrzeb artysty: Wyniesienie zwłok ś. p. Seweryna Nowickiego z kościoła św. Antoniego w Warszawie.

Odznaczenie austryackiego ambasadora.

Ciężkie, trudne i nad wyraz odpowiedzialne obowiązki ambasadora Austro-Węgier na dworze w Petersburgu pełnił od szeregu lat hr. Berchtold, a pełnił ku zupełnemu zadowoleniu obu państw. Zwłaszcza przed dwoma laty, kiedy stosunki między Rosyą a Austryą z powodu aneksyi krajów okupowanych były bardzo naprężone i kiedy zdawało się, że wojna między temi sąsiadującemi ze sobą państwami jest nieunikniona, stanowisko hr. Berchtolda było bardzo trudne. Wybitne atoli zdolności austryackiego dyplomaty, jego znajomość stosunków,



Odznaczenie austryackiego ambasadora: Hr. Berchtold, ustępujący ambasador Austro-Węgier w Petersburgu.



Budowa dworca towarowego w Krakowie: Widok ogólny podkopu na Prądniku Białym.

wielki takt i spryt pozwoliły mu wywiązać się pomyślnie i szczęśliwie z poruczonego sobie zadania a nie ulega wątpliwości, że pokojowe rozwikłanie zatargu ówczesnego jest w znacznej mierze jego właśnie zasługą.



Budowa dworca towarowego w Krakowie: Bar. Bahnhans, dyrektor kolei północnej.

Dalsza działalność hr. Berchtolda zmierzała ku zupełnemu wyrównaniu różnic między Rosyą a Austryą, dzięki też jego usiłowaniom nastąpiło w ostatnich czasach znaczne zbliżenie między obu państwami a niebezpieczeństwo wojny, które tak długo nad niemi wisiało, zostało wreszcie zupełnie usunięte.

Obecnie opuszcza hr. Berchtold stanowisko ambasadora Austro-Węgier w Petersburgu, a z okazyi tej cesarz Mikołaj II. obdarzył dzielnego dyplomatę orderem Aleksandra Newskiego. Jest to odznaczenie bardzo wysokie i zaszczytnie świadczy o opinii, jaką sobie hr. Berchtold zjednał na dworze petersburskim.



Wystawa wyrobów wschodnich: Widok ogólny sali wystawowej.

Budowa dworca towarowego w Krakowie.

Wzrastający gwałtownie ruch kolejowy na dworcu krakowskim, ruch, krępowany szczupłymi rozmiarami tego dworca i wielu brakami w urządzeniu, zniewolił zarządy obu kolei, których linie schodzą się w Krakowie, tj. kolej państwową i kolej północną do podjęcia budowy nowych dworców, zarówno towarowego, jak osobowego.

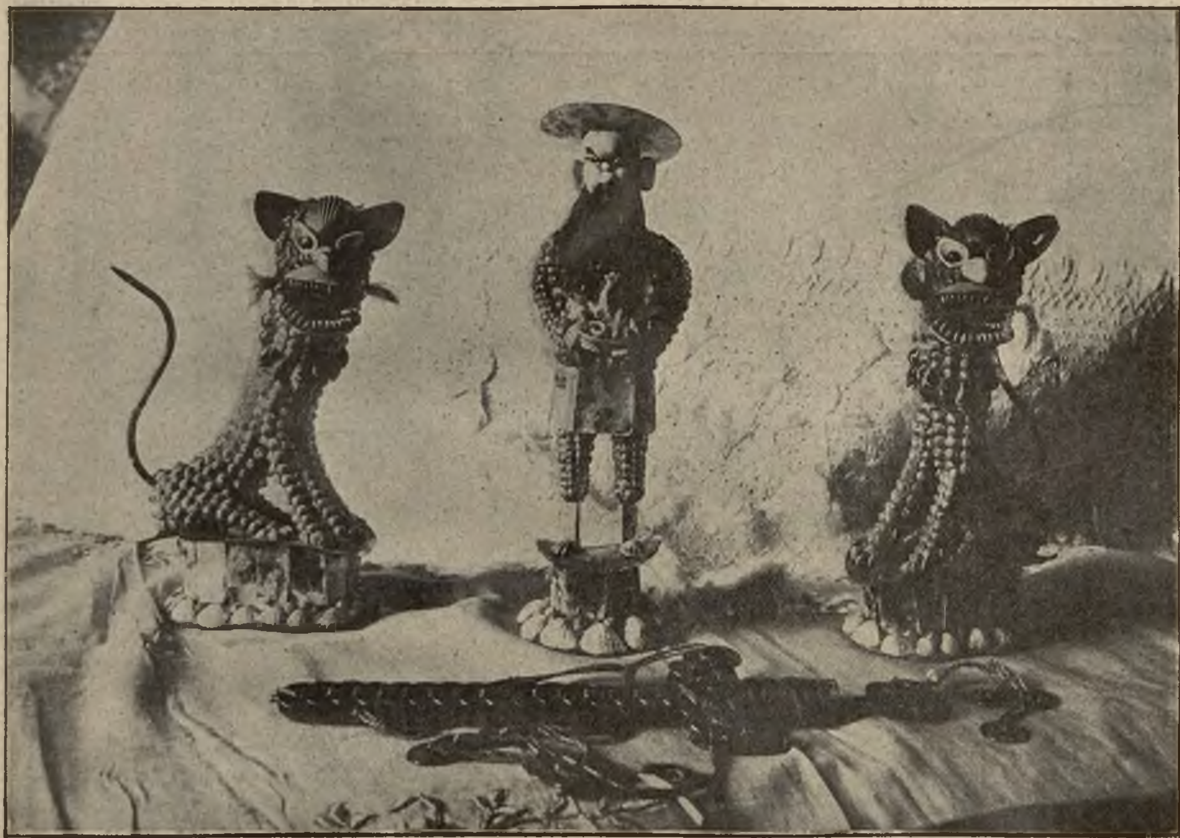


Budowa dworca towarowego w Krakowie: Kierownicy budowy dworca; 1. dr. Juliusz Haraschin, komisarz wykupna gruntów; 2. inż. Kalityński; 3. inż. Horowitz; 4. inż. Munk; 5. urzędnik administracyjny p. Blumenblat.

Na razie przystąpiono do pracy około budowy dworca towarowego kolei północnej, który to dworzec zajmie ogromną przestrzeń na pograniczu między Krowodrzą a Prądnikiem Białym. Rozpoczęte z końcem lata ubiegłego roku prace postąpiły już bardzo znacznie naprzód i dają pewne pojęcie o olbrzymich rozmiarach tej budowy.

lat staną budynki. Z podkopów jeden znajduje się w Krowodrzy, drugi w Prądniku. Roboty około podkopu w Prądniku postąpiły już tak dalece naprzód, iż rozpoczęto montowanie żelaznej konstrukcyi. Szerokość obu podkopów wynosi 16 m.

Budowa nowego dworca wymagała wykupna znacznej ilości gruntów prywatnych, którą to sprawę



Wystawa wyrobów wschodnich: Wyroby z muszelek pół dzikich Sakkojów malajskich.

Plany nowego dworca wygotował inż. Spett, Polak, urzędnik dyrekcyi kolei północnej, kierują robotami z ramienia tej dyrekcyi inspektor inż. Nosowicz i inż. Kalityński, z ramienia zaś przedsiębiorstwa stanisławowskiej firmy Corazzo, która budowy się podjęła, inżynierowie Horowitz i Munk.

W roku bieżącym wykończone będą wszystkie roboty około budowy dróg dojazdowych, dwóch podkopów i całego toru, w ciągu dwu następnych

załatwiał imieniem dyrekcyi kolei północnej dr. Juliusz Haraschin, jako komisarz wykupna gruntów.

Przy robotach wspomnianych zajęto bardzo wielu robotników, przeważnie rekrutujących się z ludności miejscowej, a tylko do pewnych specyalnych robót przyjęto niewielką ilość robotników Włochów i Węgrów.

Po ukończeniu budowy dworca towarowego a następnie dworca osobowego, wygląd całej okolicy, gdzie dworce te staną, zmieni się do niepoznania, a puste dziś obszary i przestrzenie zapełnią się budynkami i gwarnym tłumem.

Sprawa budowy nowego dworca towarowego w Krakowie jest dla tutejszych sfer handlowych i przemysłowych pierwszorzędnej wagi i doniosłości. Obecny dworzec już od dłuższego czasu nie odpowiada potrzebom mieszkańców Krakowa, którzy też od dawna domagali się rozszerzenia tego dworca.

To też należy się szczere uznanie i wdzięczność bar. Bahnhansowi, generalnemu dyrektorowi kolei północnej, iż poszedł na rękę krakowskiemu przemysłowi i handlowi i budowę dworca towarowego przeprowadził.

Zamieszczamy dziś dwa zdjęcia, odnoszące się do budowy dworca; jedno przedstawia podkop na Prądniku, drugie zaś grono inżynierów, kierujących budową.



Benefis utalentowanego muzyka: Grzegorz Fitelberg.

Benefis utalentowanego muzyka.

Filharmonia warszawska wykazywała do niedawna rokrocznie ogromne deficyty, które łącznie doszły do miliona rubli. I gdy wyczerpały się wszystkie źródła ofiarności i kredytu, gdy zdawało się, że sympatyczna ta instytucya skazana jest na zagładę, zespół artystów chwycił się ostatniego środka i postanowił wspólnemi siłami na własne ryzyko pokierować kampanią koncertową.

I oto po pierwszym roku próby okazało się, że ta droga była zupełnie racyonalną, że Filharmonia nietylko zapracowała na swe utrzymanie, ale odpowiedziała w zupełności wymaganiom artystycznym.

Zasługą i jedno i drugie w wielkiej mierze Grzegorza Fitelberga, artystycznego kierownika Filharmonii, muzyka wysokich zdolności, kapelmistrza jednego z najwybitniejszych dziś w Polsce. To też cała Warszawa ceni go i lubi a urok osobistej sympatyi, otaczającej Grzegorza Fitelberga, przenosił się i na samą instytucyę.

Celem bodaj częściowego wynagrodzenia trudów, przez cały sezon na rzecz Filharmonii ponoszonych, urządzono niedawno benefisowy koncert, którego dochód przeznaczony był dla zasłużonego kapelmistrza i dyrektora. Koncert powiódł się doskonale a piękny dochód, mnóstwo kwiatów, oklasków i podarunków, jakimi obdarzono benefisanta, był dowodem i wyrazem sympatyi i uznania, jakiem się Grzegorz Fitelberg w całej Warszawie cieszy.

Koncert pianistki polskiej w Paryżu.

W dniu 10 kwietnia, w sali Rolników w Paryżu, odbył się koncert własny p. Haliny Skwirczyńskiej, pianistki znanej już dobrze u nas. Panna S. wykonała bardzo obfity program, ułożony z dzieł Chopina, Paderewskiego, Beethovena i Schumanna. Największy sukces zdobyła odegraniem utworów Schumanna i mazurków, odegraniem prawdziwie mistrzowskiem. Dość powiedzieć, że po trzy razy musiała powtarzać niektóre perełki Chopinowskie.

Burza oklasków i echo bardzo pochlebnych odezwań prasy francuskiej uwieńczyło ten występ p. Skwirczyńskiej, wysuwając ją na czoło naszych pianistów.

Związek artystów i artystek polskich.

W ubiegłym roku udało się przeprowadzić niesłychanie trudną organizacyę zawodową, bo organizacyę aktorów i aktorek, którzy dotąd szli zawsze luzem i łączyli się tylko w lokalne związki o celach



Koncert pianistki polskiej w Paryżu: Halina Skwirczyńska.

towarzyskich. Dopiero w ostatnich czasach objawiła się wśród drużyny artystycznej teatrów galicyjskich usilna dążność do zszeregowania się w jedną wspólną organizacyę, której celem byłoby wywalczenie lepszej doli dla swych członków, obrona ich interesów i praw; myśl w szczęśliwej chwili rzucona, przyjęła się odrazu, a znalazłszy gorliwego propagatora w osobie reżysera teatru krakowskiego, p. M. Węgrzyna, zamieniła się wnet w czyn i oto dziś i Orwid, oraz dyrektor prowincyonalnego teatru p. Karliński.

Obrady zagaił p. M. Węgrzyn, przedstawiając w krótkości dotychczasową działalność Związku. Następnie po udzieleniu absolutoryum dotychczasowemu wydziałowi, przystąpiono do wyboru nowego wydziału, w skład którego weszli pp.: dr. Julian Gertler, adwokat z Krakowa, przewodniczący, M. Węgrzyn, zastępca przewodniczącego, Jednowski, sekretarz, Stanisławski, skarbnik, Wysocka, Sosnowski, Leszczyński, dr. Dwernicki, członkowie wydziału, Weychert, J. Węgrzyn, Maryański, Feldmann, zastępcy. Nadto wybrano komisyę kontrolującą i sąd polubowny.

W dalszym ciągu obrad ustanowiono wysokość wkładki miesięcznej członków w stosunku 1% wysokości gaży miesięcznej. Następnie dłuższą dyskusyę wywołała sprawa zmiany statutu Związku, której domagano się z kilku stron. Zmiany te istotnie uchwalono. Między innymi postanowiono, by Związek miał w statucie zagwarantowane prawo uzyskania koncesyi na prowadzenie własnego teatru związkowego; dalej określono bardzo szczegółowo, kto może należeć do Związku i powiększono zarząd o jednego wiceprezesa i dwu członków zarządu.

Następnie zebrani artyści uchwalili dołożyć starań, by istniejące przy miejskich teatrach w Krakowie i Lwowie „Czytelnie artystów“ zostały rozwiązane a ich majątek został wcielony do Związku. Postanowiono dalej przyjmować do Związku także tych artystów, którzy w danej chwili nie są angażowani. Poruszono również sprawę stosunku z tymi artystami, którzy nie zechcą należeć Związku i będą rozbijać solidarność aktorską. Zebrani postanowili bojkować tego rodzaju jednostki. Z innych spraw, poruszonych w czasie obrad, należy jeszcze wspomnieć o uchwaleniu projektu wzorowego kontraktu, który ma być przedłożony nowym dyrekcyom teatru krakowskiego i lwowskiego przy angażowaniu personalu artystycznego oraz o dyskusyi nad sprawą teatrów prowincyonalnych. Po załatwieniu tych spraw przewodniczący p. M. Węgrzyn zamknął obrady.



Budowa dworca towarowego w Krakowie: Inspektor inż. Nosowicz.



Organizacya personalu hotelowego: Pierwszy wydział założonego niedawno związku portyerów i personalu hotelowego. (Fot. M. Münz, Lwów).

istnieje już „Związek artystów i artystek polskich“, obejmujący współpracowników obojga płci obu teatrów miejskich t. j. krakowskiego (50 członków) i lwowskiego (83 członków), teatru ludowego krakowskiego, obecnie bawiącego we Lwowie (20 członków), wreszcie teatru prowincyonalnego, pozostającego pod kontrolą Związku (13 członków).

W ubiegły piątek odbyło się w sali towarzystwa demokratycznego walne zgromadzenie delegatów tego Związku. Wzięło w niem udział poważne grono członków krakowskiego teatru miejskiego, ze Lwowa pp. Feldman, Paszkowski, Sulikowski i Szobert, dwaj delegaci teatru ludowego pp. Turski



Związek artystów i artystek polskich: Grono członków wydziału Związku artystów i artystek polskich, z prezesem adwokatem dr. Julianem Gertlerem (X).



Budowa dworca towarowego w Krakowie: Inspektor Artur Grosser, naczelnik sekcyi konserwacyi, w obrębie której przeprowadza się budowę nowego dworca.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

25

Frasunek Turny przeistoczył się niebawem w niepokój, ile że Bem wypomniał mu plan rozkładu wojsk.

— Tam do licha! Widziałem, do czapy go zasadził! Trzeba natychmiast do Ramorina...

— Jeżeli kozacy pojmali podpułkownika, kto wie, czy nie czatują dalej. Noc ciemna. A potem Ramorino bez rozkazu generała dowodzącego...

— Gotów własnego widzimisię słuchać...

— A potem, generale, bacząc, że Rüdiger dowie się o rozkładzie, trzebaby na gwałt zmienić pozycyę.

— Stokroć prawda. Nie ma chwili do stracenia. Musimy zawiadomić sztab korpusu! Siewruk ruszy do kwatery dowódzcy. Chociaż należałoby kogoś znaczniejszego, bo inaczej pan Franciszek gotów lada czem zbyć. Pułkownika nie śmiem trudzić...

— Jeżeli trzeba, racz mną rozporządzać, generale.

Turno chwycił Bema za rękę.

— Z całego serca ci dziękuję. Ty jeden, pułkowniku, zdołasz im wyłożyć. Zadufanie mi wraca. Oni tam gotowi liczyć na Butryma a biedny Litwinisko pokutuje już może za swą nieopatrzność razem z woluntarską kompanią.

W godzinę niespełna Bem, pod eskortą plutonu ułanów, dopadł klasztoru Karmelitów w Woli Gutowskiej, kędy rezydował generał dowodzący wyprawą na Rüdigera.

W sieniach powitał Bema porucznik Szczuka.

— Generał jest cierpiący, nikogo nie przyjmuje.

— Lecz mnie musi przyjąć, sprawa pilna.

Szczuka wyprostosował się z ukontentowaniem.

— Najakuratniej zamelduję, panie pułkowniku.

Szczuka zginął za bocznemi drzwiami. Bem rozejrzał się po wielkiej, sklepionej sieni. Tuż przed nim o dwa kroki prężył się młody oficer strzelców konnych gwardyi. Bem odsalutował uprzejmie, lecz w chwili gdy miał się odwrócić, uderzyły go znajome rysy twarzy, więc przystanął.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli... porucznik?...

— Sierawski do usług.

— Syn generała! Daruj porucznik, żem cię nie poznał. Waćpan tu z ordynansem?

Sierawski stęknął.

— Od dwóch godzin, panie pułkowniku wyczekuję na pieniądze za trzy krowy, któreśmy na rzeź zarekwirowali chłopom dla pułku.

— I meldowałeś się?

— Meldowałem, panie pułkowniku. — Porucznik Szczuka trzy razy chodził, ale cóż on. — A tu konwój czeka, pułk bez kawałka mięsa...

W sieniach ukazał się oficer ordynansu.

— Pan generał prosi pułkownika.

Bem skinął przyjaźnie Sierawskiemu i prowadzony przez Szczukę, dotarł do obszernej, migotliwym płomykiem lampki olejnej rozświetlonej izby.

Bem postąpił niepewnie, nie mogąc wyznać się w półmroku. Lecz z rogu izby ozwał się doń płaczliwy głos:

— Czy to pułkownik Bem?

— Tak, generale.

— Proszę do mnie bliżej, bo głośno nie mogę. Patrz, pułkownik, a ja tu ledwie zipię. Darcie mnie napadło z wczorajszego deszczu... Walenty, czy aby okno szczelnie zamknięte?

— Zamknięte, generale — odrzekł barczysty cień z pod pieca.

— A doktór Kowszewicz jest?

— Jest, generale.

— To dobrze! — Powiadam pułkownikowi, gdyby nie Kowszewicz, chybabym nie wytrzymał. Nieoceniony medyk. Uf! Strzyka szelmostwo. Możeby proszków?

— Za godzinę, generale.

— Widzisz, widzisz pułkowniku, jakiego to macie niefortunnego dowódzcę... a nie chciałem, wymawiałem się...

— Ufam, że pan generał, da Bóg, szybko do zdrowia przyjdzie.

— Bardzo to poczciwie... bardzom wdzięczny. Byle wilgoci nie było i drogi przez lasy... Lasów nie mogę.

— Generał daruje, że przedłożę mu sprawę, która mnie zniewoliła...

— Proszę, słucham, byle półgłosem...

Bem w krótkich słowach zawiadomił Jankowskiego o pojmaniu Butryma, pochwyceniu rozkładu wojsk i wynikającej stąd potrzebie zmiany pozycyi.

Żółta, pomarszczona twarz generała wykrzywiła się desperacko.

— Panie Kowszewicz, słyszysz pan! Butrym! Taki dzielny oficer! A ja tu, jak Łazarz! Walenty, nasuń mi kołdrę na nogi! Trzeba, trzeba naturalnie. Panie Kowszewicz, daj znać, proszę, Franusiowi, że Butrym!... Chyba Romer go zastąpi! Gdybym był zdrów. Tłómaczyłem naczelnemu wodzowi, żeby Umińskiego zostawił. Hę!? Co sądzisz pułkowniku? Nieszczęście!

Bema i przygnębienie i gniew i żal dojmował naprzemiany.

— Generale, największe, że Butrym przepadł, bo zresztą starczy, aby generał Bukowski z Różyckim do Krępy ruszyli a Ramorino od Podlodowa następował...

— Tak, tak, niezawodnie! Krępa i Podlodów! Widziałem na mapie. Wydam rozkazy natychmiast! I tabor nasz niepotrzebnie do Kocka wyprawiono. Trzeba go cofnąć. Ogarniam. Rüdiger sprobuje na Turnę uderzyć, jako z trzech najsłabszego! Gdybym był zdrów! A tu pod noc opary pewno idą od ziemi.

— Nie ma oparów!

— Nie ma — a strzykanie mam silniejsze, musi to Kowszewicz zbadać.

— Więc mogę zapewnić generała Turnę?

— Najsolenniej! Natychmiast każę ordynansów... Ale, niech pułkownik zobaczy się z moim bratem i od siebie jeszcze mu powtórzy. Porucznik Szczuka cię doprowadzi...

Bem ledwie otrząsnąć się zdołał z wrażenia, które nań wywarła rozmowa z dowódzcą w obliczu niechybnej bitwy, gdy Szczuka rozwarł przed nim drzwi huczącego gwarem refektarza.

Snopy światła i kłęby fajczanego dymu buchnęły w pułkownika, jak z czeluści.

Bem zawahał się. Czereda sztabowców zalegała stół. Brzęk złota, stukotanie szklanic i zgiełk pomieszanych głosów bił pod ostrołuki klasztorne. Pułkownik zmógł się, postąpił naprzód — nikt go nie zauważył.

Bemem pasya targnęła.

— Mości panowie! — Któryż z was nareszcie zatroszczyć się gotów o służbowe obowiązki!

Czternaście par oczu zdumionych zwróciło się do pułkownika.

— W faraona, widzę, zamierzacie pobić Rüdigera!

— Co to! — Kto śmie!? — Bem! — Tego nadto! — Nauki! — warknął głuchy pomruk.

— Gdzie tu pułkownik Franciszek Jankowski?

Na to zawołanie barczysty pułkownik zerwał się z za stoła.

— Ja jestem! Co tu pułkownik! Jak mam rozumieć pańskie wykrzykiwanie!?

— Jak się panu podoba. Gdyby nie rozkazy generała, nie ośmieliłbym się panom przerywać zabawy.

Jankowski żachnął się.

— Proszę, co za rozkazy?

Na pierwsze słowo o pochwyceniu Butryma, sztabowcom harde spojrzenia przygasły. Bem powtórzył żądania Turny.

Pan Franciszek Jankowski skonfundował się.

— No. no — na jaki to koniec przyszło Butrymowi! Ma się rozumieć, wyślę się rozkazy. Generał Milberg stoi w tym... zaraz obok. Wyślę się...

— Radbym, żeby pułkownik to zaraz uczynił.

Jankowski się uraził.

— Zechciej pułkownik nie zapominać, że ani ja nie jestem pańskim podkomendnym ani mój brat generał, który jeden ma prawo decydować i wie, co i kiedy nakazać wypada.

— Generał dowodzący jest chory.

— Sprawuje obowiązki a reszta pułkownika nie obchodzi!

— Nalegam, aby sprawa gwałtowna, od której los bitwy może zawisł, nie doczekała się takiego lekceważenia, jak ten oficer ordynansu, który wystaje od trzech godzin w sieniach, z kwitem na sto kilkadziesiąt złotych, aby pułk wyżywić...

Jankowskiemu czupryna się zjeżyła.

— Co za oficer? Gdzie?!

— Miałem honor trzy razy meldować panu pułkownikowi! — ozwał się z boku Szczuka.

— Kiedy? Co? Jak?! — Wołać go! — Mości Bogdański, pan, jako komisarz wypłat...

— Nikt mi nie prezentował likwidacyi! — sumitował się młody urzędnik sztabu.

— Dyabli nadali! Wszystko na mojej głowie! — A więc to porucznik? — Pułk strzelców konnych! Ile? — Proszę, proszę, tu jest sto sześćdziesiąt złotych!

To mówiąc, Jankowski sięgnął do kupki złota, leżącej na stole i wyliczył Sierawskiemu należność.

— Trzymam na ryndzię cały ten kwatermistrzowski ekwiwalent! — zakrzyknął jeden z ciżby sztabowczyków. Gromada zarechotała przeciągle.

Oczy Bema błyskawicami łypnęły.

— A zatem mogę generałowi Turnie donieść, że rozkazy...

— Rozkazuje tu generał dowodzący! — przerwał z pasyą Jankowski. — Zameldowałeś pułkownik i koniec! Generał Turno jest jeszcze podkomendnym!

— Kłaniam więc, by dłużej nie przerywać panom rady wojennej.

Ciżba warknęła groźnie.

Bem obrzucił ją hardem spojrzeniem i wyszedł.

Nazajutrz ledwie brzask rozproszył cienie nocy, w obozie Turny zagrały przytłumione pobudki. Żołnierze porwali się na nogi. Ruch zawrzał gorączkowy. Koniom dodatkowe założono obroki. Szeregowcom podwójne rozdano racye, napełniono im manierki. Starszyzna oficerska ostatnie odebrała rozkazy.

Plan Turny ściśle trzymał się rozporządzeń dowódzcy korpusu. Więc Turno ze strzelcami pieszymi i konnymi, trzema szwadronami krakusów i ośmiu działami Bema miał iść wprost na Przytoczno i zaatakować Rüdigera z frontu. Pułkownik Zielonka z resztą strzelców konnych, ułanami i batalionem piechoty, powinien był stać pod bronią w Budziskach, czuwać na rozstaju a stanowić rezerwę Turny.

O wschodzie słońca dywizya Turny dźwignęła się i jęła zanurzać się w poszycie budziskiego lasu.

Turno był pełen dobrej myśli. Złowróżebna relacya Bema, która generała o noc bezsenną przyprawiła, znikła. Sztafeta z kwatery Jankowskiego przywiózł Turnie na dzień dobry nietylko uspokojenie, lecz i wiadomość, że Bukowski jest już w Poizdowie, że Ramorino nadchodzi z przeciwnej strony!

I Turno aż żal miał w duchu do Bema. Dobry żołnierz, bystry, zdolny ale i dziwak, rygorzysta. Sztab Jankowskiego wzorowym nie jest. Jankowski, gdy zdrów, to i do zbytku przez szpary na nieład pogląda, woli sam raport wykaligrafować, niż skrybę sztabowego za niedbalstwo zekpać! Dopieroż teraz, gdy poczciwemu panu Antoniemu reumatyzm doskwiera, gdy sławetny pan Franciszek rządzi się, jak szara gęś! — Nie tak być powinno. — Do badów mu było raczej, niż na dowództwo po Umińskim. Ale tym razem niema szkody. Rüdigera, choć i ze swoich puchów Jankowski dosięgnie... A dosięgnie bodaj tem lepiej, że mu brak zapalczywości Umińskiego, że każdy mu rad, że nikt na zacnego pana Antoniego skrzywićby się umiał.

Gdy tak pogodnemi myślami hołubił się dowódzca przodowniczej dywizyi polskiej — Rüdiger podczas przez ognie przechodził niepokoju i gorączki i to w zgoła odwrotnych warunkach niż Turno.

Rüdiger bowiem do wieczora poprzedniego dnia był przekonany, że ma przed sobą Ramorina i że nazajutrz bez wysiłku zmusi go do odwrotu. Pochwyceni przez rekonesanse jeńcy prawili coś o wojsku, które od Adamowa ciągnie, lecz Rüdiger się tem nie przejmował. Aliści pod noc patrole generała Płachowo przyprowadziły bryczkę z tak niezwykłym ładunkiem, że Rüdiger kazał obóz alarmować...

Wiadomości były dokładne. Rüdiger był otoczony! Nawet o umknięciu za Wieprz roić nie mógł bo rozkład wojsk polskich mówił, że Chrzanowski z Zamościa już do Lubartowa nadchodzi.

Pogrom, pogrom niechybny zawisł nad zwycięscą z pod Boremla. On, który zdołał Dwernickiego usidlić, wyprzeć za austryacką granicę i na rozbrojenie skazać, on, który za najsprawniejszego z taktyków uchodził, dał oto pojmać się w kleszcze, niby generalik salonowy, nowicyusz.

I Rüdiger zębami zgrzytnął i chwycił się desperackiego, rozpaczliwego planu, którego jedynym celem, jedyną myślą przewodnią było nie uledz bez walki, bez zapasów, ocalić choćby dywizyę, choćby sławy odrobinę uratować.

Po północy Rüdiger wydał rozkazy. Na żer dla Turny miał iść Dawydow w trzy tysiące drogą do Budzisk. Stary Ricord z pięciuset ludźmi skazany był na obronę mostów, taboru i zgubę niechybną. Płachowo z dragonami i półbateryą wysłany był między Milberga i Bukowskiego na straconą pozycyę ku Rudzie. A sam Rüdiger z pięcioma tysiącami zawrócił na Charlejów, aby sposobności patrzeć i bądź ku Budziskom się rzucić, bądź na Rudę się salwować.

Z tych gwałtownych zarządzeń wynikło, że ledwie Turno dosięgnął krańca lasu budziskiego, już szpica kolumny jego starła się z przednią strażą Dawydowa.

Bitwa się rozpoczęła, zajadła, gorąca.

Dawydow gwałtownie następował, lecz jeszcze

gwałtowniej nacierał Turno. Łańcuchy tyralierów polskich w godzinę niespełna wyparły z zagajników strzelców rosyjskich. Armaty Bema zdemontowały dwa działa nieprzyjacielowi i przewagą ośmiu paszcz nad czterema coraz śmiertelniejsze zadawały ciosy. Dwudziesty pułk Smirnowa chwiał się, szlusował z wysiłkiem rzednące szeregi, topniał.

Turno już czyhał, aby kawaleryi zażyć, gdy naraz na salwę armat Bema odpowiedziało hen w oddali trzykroć pomnożone echo...

Turno dopadł Bema, lecz nim zagadnąć zdołał, za lasami już bez zewu bateryi polskiej huknęły armaty.

— Pułkowniku — słyszysz?

— Bitwa za nami, generale! Zielonkę atakują! Najmniej trzy pełne baterye...

Turno zakrzyknął na adjutantów. Tarabany zadudniły. Chrapliwe dźwięki trąbek zwinęły linie kawaleryi.

Dywizya jęła się cofać a cofając się szczerzyć lufy karabinów ku następującemu coraz śmielej Dawydowowi.

Las budziski utrudniał temu ostatniemu atak. Dwie armaty Bema, które pułkownik na tyłach kolumny wiódł a co kilka stajań odprzodkowywał, omiatały raz za razem drogę z nieprzyjaciela. Tyralierzy podczas, bokami, krok za krokiem o każde drzewo ze strzelcami Dawydowa się spierali. Kule karabinowe łomotały po pniach, sypały igłami sosen, jodeł i świerków, pruszały murszem, wypryskiwały korę, utrącały gałęzie, nie czyniąc znaczniejszej szkody ani ściganym, ani nacierającym.

Turno podczas łudził się, że to Bukowski naparł jakowyś znaczniejszy oddział Rüdigera i prze go na Budziska. Złudzenie Turny krótko trwało. Wysłany rekonesans wrócił z wiadomością, że ćma nieprzyjaciół debuszuje od Charlejowa i prze Zielonkę, zagradzając doń drogę.

Turno wysłał do Bema adjutanta, by wziął dowództwo odwrotu a sam przed trzy szwadrony strzelców konnych gwardyi się wysunął, zatoczył koniem, pałaszem łysnął i porwał za sobą strzelców.

Strzelcy ruszyli wyciągniętym kłusem.

Turno cwałował na czele ze wzrokiem utkwionym w dal rzedniejącego lasu. Aż raptem hen ze skraju ponad krzami poszycia, wychynął doń grzebień bagnetów. Generał zebrał cugle i ku trębaczom huknął. Zachrypiał sygnał na dobycie pałaszy. Szwadrony zalśniły stalą.

— Naprzód — arsz — arsz!

— Aarsz — w koń! — wrzasnęły komendy oficerów.

Szwadrony zaszamotały i runęły, jak huragan. Czatująca na gołoborzu podleśnem piechota Rüdigera plunęła salwą, utrąciła kilku z pierwszego plutonu, lecz nim zdążyła odgryść nowe ładunki a naboje zastemplować, już Turno wpadł w jej środek, już sztychem majora zwalił, już strzelcy konni, za przykładem jenerała spiętrzyli się nad piechotą niby rzeka na grobli, i wpadli na kanonierów rosyjskich, którzy na Zielonkę bluzgali kartaczami.

Zawadyacka, szalona szarża Turny zmięszała Rüdigera, zdziesiątkowała jeden batalion piechoty, lecz krótką święciła przewagę. Na ratunek kanonierom pospieszyło sześć szwadronów wyborowej dragonii i nowy batalion piechoty.

Strzelcy Turny jęli cofać się, uchodzić ku lasowi, dokąd wzywały ich trąbki a skąd już armaty Bema się ozwały.

Bitwa teraz zawrzała potrójna.

Od strony Serokomli walczyła rezerwa pod Zielonką z jedną dywizyą Rüdigera. Turno zaś, na dwa fronty stawiąc czoło, trzymał i Dawydowa i główny korpus Rüdigera i czynił daremne wysiłki ku połączeniu się z Zielonką.

Dwie godziny Turno opierał się Rüdigerowi, przez dwie godziny trzytysięczny korpusik z półbateryą artyleryi mocował się z dziesięciokroć tysiącami, przez dwie godziny Turno z minuty na minutę spodziewał się, iż lada sekunda na trakcie do Kocka, na tyłach Dawydowa, z poza garbów pól serokomelskich zafurkoczą ułańskie chorągiewki i nadchodzącym kolumnom piechoty polskiej drogę do zwycięstwa utorują, iż Rüdiger, opasany zewsząd, na krzyżowy ogień wzięty, kurhanem na wieczne czasy zalegnie na tych samych łąkach.

I Turno, dla przyspieszenia tego momentu, słał ordynansa za ordynansem, sztafetę za sztafetą do Bukowskiego, do Ramorina, do Jankowskiego, do Milberga. A sam, zadufania pełen, przykładem świecił, docierał do zagrożonych stanowisk, szarżami się oganiał, sam je wiódł.

Zadufanie generała i żołnierzów ogarnęło. Okrzyki pełne zapału sekundowały dudnieniu tarabanów i graniu trąbek. Wycie armat zdało im się godzinę chwały wybijać. Szli, trwali, pędzili plutonami na pułki, dywizye batalionem straszyli — ich bo wygrana była, ich odwet za Ostrołękę, bo już... już idą posiłki, idą całe brygady polskie! Niechże nygusy, guzdrały poznają, ile druga dywizya namłócić umiała, niechże wiedzą, iż gdzie gwardyackie orzą pułki, tam pospolitakom, liniowcom, partyzantom, rekrutom w mundury zaszytym, aby do gotowego przyjść, aby się krzynkę w sobie zebrać i zawiwatować.



Bem chwycił za lunetę.

Mijały godziny. Szeregi Turny rzedły. — Zielonka coraz słabiej się odzywał... Dawydow wyciągał ramię lewe, lewe podawał mu Rüdiger.

Turnie stojącemu przy armatach Bema, luneta zadrżała w ręku. Dwa pułki piechoty szły bokiem ku lasowi...

— Pułkowniku! — Otoczą nas! Patrz!

Bem chwycił za lunetę.

— Ani chybi!

— Bukowski powinien być!...

— Generale! — zakrzyknął adjutant. — Ordynans od Ramorina... nadjeżdża!

Turno szarpnął koniem ku pędzącemu podoficerowi ułanów.

— Dotarłeś!? — Wracasz z Podlodowa!?

Ułan osadził pianą okrytego konia, musnął rękawem po sznurku krwi, co mu się z pod czapy do oczu sączył i chwyciwszy powietrza, zaraportował chrapliwie:

— Generał Ramorino wyciągnął do dnia do Okrzei!

Turno zatrząsł się ze zgrozy.

— To nie może być! Ramorino! Łżesz nie dotarłeś...

— Dotarłem, generale — z wego ducha w Podlodowie!

Turno zwrócił się do Bema:

— Słyszysz, pułkowniku! Ramorino uszedł!

— Proszę o szwadron strzelców konnych... Z dwiema armatami pójdę. — Inaczej otoczą.

— Nie przedrzesz się.

— Wytrzymam.

— Jeżeli zdołasz, do Bukowskiego szlij!

Bem w okamgnieniu sprzągł dwie armaty, szwadronem strzelców je otoczył i ruszył z kopyta skrajem leśnej rubieży.

Rüdiger gotował się do zadania śmiertelnego ciosu Turnie. Drobny korpusik Zielonki wyparł tyralierami za wieś i czterema działami odeń się odgrodziwszy — pchnął brygadę świeżej piechoty ku lasowi, aby Dawydowa wzmocnić i bitwę rozstrzygnąć.

Skutek tego poruszenia był piorunującym. Brygada piechoty, pomimo rozpaczliwych wysiłków Turny, rozczepiła strzelców trzeciego pułku i z nich cały batalion zagarnęła stalowym pierścieniem...

Jeszcze szarża kawaleryi i wygrana niechybna, jeden z czterech napastników rozbity. Gdy naraz generałowi rosyjskiemu dano znać, iż na drodze od Serokomli ukazała się kolumna kawaleryi... Rüdiger stropił się. Turnie nadchodziły posiłki! — Dla upewnienia się dywizyon dragonów, gotowych do szarży wrócił i na spotkanie kolumny wyprawił.

Dragoni pokłusowali a zoczywszy raptem oddział konnych strzelców, bez mitręgi rzucili się do ataku.

Rüdiger z zadowoleniem poglądał w lunetę, jak dragoni szli wyciągniętego galopa, jak staczali się z pochyłego traktu ku strzelcom...

Wtem, gdy dwa kłęby idącej ku sobie kurzawy miały się zewrzeć i dragońskiego, jako potężniejszego, władanie ustanowić — czwórki strzelców otwarły się, pomknęły na boki a równocześnie smuga kartaczy rzygnęła w dragonów...

Dywizyon zbałwanił się, stracił szyk, poplątał, lecz nim konie zedrzeć, opanować zdołał, po dwakroć jeszcze krwią i miazgą żywą bluznął.

Rüdigerowi zaćmiła się w oczach cała dywizya kawaleryi z armatami...

Tymczasem był to tylko Bem. On to, śród gradu krzyżujących się kul, dobył się na serokomelski trakt, on to, symulując odsiecz, dwoma działkami rozpoczął zajadłą kanonadę na lewem skrzydle Rüdigera.

Zielonka na odzew Bema, mocniej natarł. Turno ostatek sił dobył.

Aż Rüdiger uląkł się walki na trzy fronty i kazał trąbić na odwrót, ani wiedząc, ani przypuszczając, że tam, w odmęcie, piechota jego zagarnęła już pół batalionu polskich strzelców, że Dawydow kawaleryę Turny dziesiątkuje, że zwycięstwo na jego, Rüdigera, przechyliło się stronę, że jeno pozostało mu krwawego żniwa dokonać.

I pułki rosyjskie zwierały się, opuszczały stanowiska i cofały w stronę Charlejowa.

Turno mało nie płakał z alteracyi, pasyi, bezsilności. Nieprzyjaciel uchodził, uprowadzał mu kilkuset niewolnika — a tu nie było ani sił, ani amunicyów, aby ścigać go, aby odbić bodaj zagarniętych. Znikąd odsieczy, zniką pomocy a przecież on miał być jeno przednią strażą, a przecież jego dywizya miała tylko wciągnąć do bitwy przeciwnika, podać go na cepy Milberga, Bukowskiego i Ramorina.

Ból, żal i rozpacz w Turnie. Dopadł szczątków szwadronu ułanów, formujących się ociężale pod lasem, zaklął ich i porwał do szarży...

Konie spięte ostrogami, zawarły chrapy, wyciągnęły szyje, zadudniły kopytami... i ustały w połowie drogi.

Równie szalona a może głębsza rozpacz targała Bemem, bo oto w chwili, gdy zastępy Rüdigera odpływały zwartemi wstęgami, gdy dwie armatki pułkownika ostatkiem nabojów goniły — nadjechał porucznik Sierawski z wiadomością, że generał Bukowski z trzema tysiącami był tuż, był o pół mili nie całe, że wysłuchał Sierawskiego i polecił mu oświadczyć, iż trzyma się pilnie odebranych rozkazów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bolesna strata.

Smierć Stanisława Womeli zadała dziennikarstwu polskiemu, polskiej krytyce literacko-artystycznej



Bolesna strata: Ś. p. Stanisław Womela.

stratę niepowetowaną, a tem cięższą, że zmarły mimo swego wielkiego talentu, wzmocnionego gruntownem wykształceniem, nie pozostawił prawie żadnej spuścizny duchowej w konkretnej postaci. A przyczynę tego upatrywać należy w twardych warunkach walki o byt, w pracy na chleb powszedni, która wyczerpała siły ś. p. Womeli, oraz w ciężkiej chorobie, która od szeregu lat pożerała jego organizm. Być może, że jednak rozstrzygającą była tu dająca się zauważyć u wielu wysoce uzdolnionych ludzi nieproduktywność, która sprawia, że najświetniejsze pomysły pozostają mimo sił dostatecznych do ich należytego wyzyskania — pomysłami.

Ale nie cały umarł ś. p. Womela. Poglądy jego artystyczne i literackie, głoszone bądź to ustnie, bądź to w licznych krytykach, zamieszczanych głównie w lwowskim „Przeglądzie", stworzyły mu liczne koło zwolenników, którzy pod jego wpływem tworzyli. Jako krytyk teatru i sztuki odznaczał się zmarły oryginalnością i głębokością zapatrywań. Nie uznawał autorytetu, demaskował bez litości korzystające z pomyłki estetycznej społeczeństwa i prasy miernoty, w stosunku zaś do t. zw. modernizmu stanął na stanowisku badacza, który zamiast na ślepo potępić kierunek usuwający się z pod jego kanonów, stara się go wszechstronnie oświetlić i zrozumieć. W ten sposób stał się gorącym zwolennikiem nowych prądów i ich teoretykiem, co pozostanie jego rzetelną zasługą.

S. p. Womela urodził się w r. 1868; skończywszy gimnazyum we Lwowie, studyował germanistykę, a następnie przerzucił się do dziennikarstwa. Dłuższy przeciąg czasu spędził w Monachium, i na Capri, gdzie wyjechał następnie dla poratowania zdrowia. Choroba zatruła mu ostatnie lata życia, przyprawiając o prawie zupełną utratę wzroku i silny rozstrój nerwowy. Również stosunki materyalne były opłakane i zmusiły go do zarabiania tłómaczeniami. Dziwna ironia losu! Womela, dusza nawskróś artystyczna, talent wybitny, przełożył trzynaście tomów powieści Karola Maya, słynnego „podróżnika", który nie wyjrzał poza granice Niemiec i... mury kryminału.

W ostatnich czasach zajmował ś. p. Womela stanowisko sprawozdawcy teatralnego „Gońca" i do ostatnich dni pozostał czynnym.

Cześć jego pamięci!

Jubileusz redaktora.

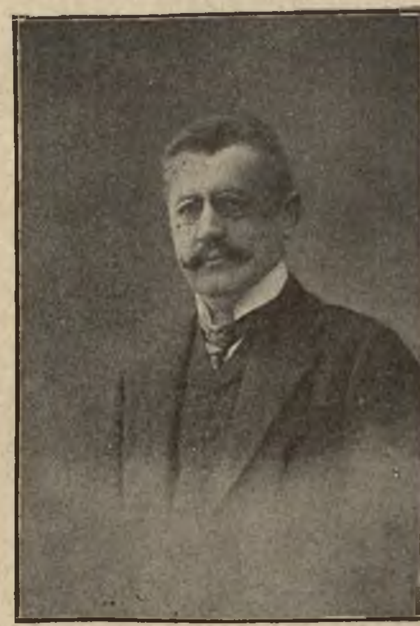
W roku bieżącym upłynęło lat 20 od chwili, w której dr. Aleksander Vogel objął wydawnictwo i redakcyę „Gazety Narodowej", jednego z najpoważniejszych i najstarszych dzienników polskich.

Dr. Aleksander Vogel urodził się w r. 1859. Po ukończeniu gimnazyum, jako akademik, brał udział w redagowaniu „Wieńca i Pszczółki". Był też jednym z pierwszych inicyatorów Kółek rolniczych. Poświęciwszy się publicystyce, pracował w „Gazecie Narodowej", następnie od r. 1887 w „Dzienniku Polskim". W dniu 18 kwietnia 1890 objął redakcyę „Gazety Narodowej", niebawem zaś nabył ją na własność od dr. Czerwińskiego.

W r. 1889 otrzymał na uniwersytecie lwowskim stopień doktora praw; w r. 1894 złożył egzamin adwokacki i wpisany został na listę. Od r. 1890 zasiadał w Komitecie Centralnym wyborczym, a po jego rozwiązaniu w Radzie narodowej.

Do Towarzystwa Dziennikarzy Polskich należy od czasu jego założenia i zasiada obecnie w wydziale Towarzystwa.

Z powodu dwudziestolecia pracy redaktorskiej otrzymał Jubilat od Towarzystwa Dziennikarzy Polskich oraz od wielu redakcyi pism codziennych i peryodycznych serdeczne życzenia, do których i my się niniejszem przyłączamy.



Jubileusz redaktora: Dr. Aleksander Vogel, redaktor „Gazety Narodowej".

Przedpotopowy olbrzym.

W okresie przedpotopowym roiło się morze i ląd stały od najrozmaitszych olbrzymów świata zwierzęcego, które pędziły spokojny żywot według słów Mickiewicza „dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie". Z chwilą, gdy po potopie zabrał się człowiek do „racyonalnej" gospodarki, znikały powoli najrozmaitsze osobniki z horyzontu, wiele gatunków znamy jedynie ze wzmianek, jakie podaje o nich nauka geologii.

Do rzędu ich należała ogromnych rozmiarów ryba, dochodząca do ośmdziesięciu stóp długości, a kształtem swym i właściwościami przypominająca znanego rekina ludojada. W czasie poszukiwań geologicznych w warstwie oceanicznej natrafiono w pokładach fosfatowych południowej Karoliny na zęby tego olbrzyma, a biorąc według nich proporcyę, skonstruowano model „pyszczka" tego potwora, który umieszczono w muzeum historyi naturalnej w Nowym Jorku.

Jeśli żyjący obecnie rekin wzbudza w nas pewne obrzydzenie, łatwo sobie wyobrazić jak „przyjemnym" musiał być jego przedpotopowy protoplasta.



Przedpotopowy olbrzym: Grono naturalistów w zrekonstruowanej z dwustu wykopanych zębów paszczy rekina z epoki eocenicznej.

Kronika tygodniowa.

Sprawa pomnika Kościuszki i kłótnia o miejsce, na którem ma stanąć, smutne nasuwają refleksye.

Lubimy stawiać pomniki, aby tylko o ile możności nie groszem składkowym, który jedynie jest rzeczywistym wyrazem hołdu i ofiarności ogółu. My, jeżeli stawiamy pomnik, to wyciągamy rękę do gmin i do finansowych instytucyi, a te dają, bo to ich przedstawicieli nic nie kosztuje; pan radca nie wyciągając ani grosza z kieszeni chętnie zawotuje kwotę z kasy gminnej, a p. dyrektor banku sławiony jeszcze będzie jako hojny mecenas za to, że z czystego dochodu instytucyi przeznaczy pewne quantum na pomnik naszego geniusza, bohatera, lub męża zasłużonego.

Jeżeli pewne grono uchwali, że jednemu z takich należy się marmur z piaskowcem lub granit z bronzem, to zawiązuje się komitet i pisze się górnolotną odezwę. Dzienniki nawołują do spełnienia obowiązku względem pamięci „wielkiego syna ojczyzny“ i nie wątpią „ani na chwilę“, że społeczeństwo da „dowód wdzięcznej pamięci“ — a społeczeństwo przyjmuje tę dobrą o sobie opinię i idzie do teatru lub kabaretu, na bombkę piwa, rżnie w karcięta, wysyła dziennie sto tysięcy korespondentek z widoczkami, urządza składkowe kolacyjki, ślizga się, nartuje, footbaluje, lawntennisuje, wybiera pos'ów i radców — a czasami pyta się ciekawie: ile też na pomnik już złożono? Mija rok, w kasie komitetu byłoby ze 2000 koron, gdyby wydatki nie zjadły trzeciej części — na pomnik zaś potrzeba 20, 50, 100 lub 200 tysięcy koron, stosownie do „rangi“ kandydata. A więc rada w radę: urządza się wieczorki, bale, przedstawienia; wyśpiewujemy, wygrywamy, wytańcowujemy pomnik. Z balu i rautu zostaje na czysto 1200 koron (wydatki wynosiły 3500) — wieczorek muzykalny przynosi 150 kor. ale... deficytu. Od czego jednak prowincya? — więc rozpisujemy listy do znajomych, tworzymy komiteciki, zaprzęgamy do pracy 500 osób. I dzięki tej pomocy kasa pomnikowa zasila się o 1500 koron. A składki „prawdziwe“ dają miesięcznie, dobrze licząc, koron 30.

W roku drugim zapał już ostyga, ale jeszcze coś kapnie — razem wziąwszy, kwota umieszczona na książeczce Kasy oszczędności wynosi 4396 kor. o może nawet 4512 kor. Ofiarność zupełnie się wyczerpała, zresztą zbierają się składki na inne cele i inne pomniki. A więc ratujcie sytuacyę rady miejskie, banki, kasy oszczędności, rady powiatowe. Rozpoczyna się żebranina na wielką skalę (czasem zdarza się, że rodzina oczekującego pomnika daje kwotę znaczniejszą, jak było przy pomniku Fredry) i nareszcie po latach sześciu lub siedmiu staje pomnik jako „wyraz hołdu społeczeństwa dla jednego z największych synów“, a mówcy przy odsłonięciu pośągu czy biustu zaznaczają ofiarność publiczną, pieją hymny na cześć „grosza wdowiego“, który zasilił kasę komitetu. Nieraz jednak „zasłużony“ musi czekać na swój pomnik lat 15, a czasem całkiem go się nie doczeka...

Dwadzieścia pięć lat zbierano składki na pomnik Mickiewicza w Krakowie, i gdyby nie 50,000 rubli złożone na ten cel w Królestwie, do dziś dnia możeby go nie było... Nasza ofiarność galicyjska przyniosła drugie tyle, ale w tem trzy czwarte wpłynęło z przedsiębiorstw i od rad miejskich i powiatowych, oraz z wszelkich innych instytucyi. Składkowego galicyjskiego grosza było może przez lat 25 jakieś 30,000 koron.

Ale największym skandalem jest sprawa pomnika Kościuszki.

Czy ten pomnik był potrzebny, to rzecz inna. Byli tacy (a do nich należał i kronikarz *Nowości*) co sądzili, że Kościuszko ma już w Krakowie taki pomnik, jakiego nikt na świecie nie posiada. Dlatego (mówił ten i ów) przed 90 laty sypano, wielkim naówczas kosztem, mogiłę na górze św. Bronisławy, aby dać coś więcej niż zwykły pomnik. A przy tej mogile pomnik w Krakowie, to tak, jakby kto komu dał sto tysięcy, a później jeszcze „piątkę“ dołożył. Ale te uwagi pomijano milczeniem; wielu tak myślało, ale bało się odezwać, aby nie dostać admonicyi za brak uczuć patryotycznych. Cały kraj da na pomnik, wołano — a zresztą jak nie da, to my, mieszczanie krakowscy, sami go własnym kosztem postawimy.

Cieszył mnie ten zapał, alem się na nim złapał. Rzecz się ciągnie lat bez mała dwadzieścia. Gdyby rada miejska nie dała pieniądzy, nie byłoby czem nawet zapłacić rzeźbiarzowi. A jeżeli odciągniemy to, co dała rada i co dały inne instytucye i co przyniosły rauty, koncerty, przedstawienia i t. p. to cała kwota, składkami rzeczywistemi zebrana, nie przeniosła 20,000 kor. t. j. 1000 koron rocznie. Ba! gdybyśmy odtrącili to jeszcze, co dali „przejezdni“ z Królestwa, a mieszkańcy Krakowa i Galicyi na pomnik najpopularniejszej postaci złożyli dobrowolnie (bez „naciągania“ instytucyi i dochodu „z przedsiębiorstw“) może jakieś 10—12 tysięcy koron, czyli 500—600 koron rocznie.

Nie będę opisywał perypetyi pomnikowych, bo na to trzebaby zużytkować ze dwie fl szki atramentu. Już przed ośmiu laty sprawa utknęła. Wówczas dyr. banku hipotecznego we Lwowie, p. Lazarus oświadczył: „dam resztę!“ Ale mimo dobrych jego chęci wytłómaczono mu, że ofiary jego przyjąć nie można. Przypomniano, że kiedy p. Wawelberg chciał dać 50,000 rubli na pomnik Mickiewicza w Warszawie — spotkała go również odmowa. Nie osoba, lecz społeczeństwo ma stawiać pomnik. Odmówionoby nietylko Wawelbergowi i Lazarusowi, ale Sanguszce, Radziwiłłowi, Potockiemu, choć nie było najmniejszej obawy, aby który z nich podobną ofiarnością nas zaskoczył. Ba! Lazarus wywołał oburzenie. Oburzyło się kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy obywateli — oburzyły się wszystkie dzienniki a najwięcej oburzali się antysemici. Należało się spodziewać, że po tem oburzeniu posypią się składki jak z rękawa, że sami antysemici zarzucą komitet koronami. Tymczasem oburzenie swoją drogą, a w kasie komitetu były przerażające pustki. Wreszcie przez ośm lat doprowadzono do tego, że wykupiono odlew, ale niema go na czem postawić. Zebrano na ten cel w ubiegłą niedzielę „palmową“ 900 kor., ale trzeba pięćdziesiąt razy tyle.

Ale choć pieniędzy niema, choć jeszcze całe lata przyjdzie czekać na pomnik, kłócimy się zajadle, gdzie go postawić. Grosza żałujemy, ale rad nie skąpimy. Wprawdzie uchwalono już parokrotnie w radzie miejskiej, aby pomnik stanął na rynku, ale wciąż przeciw temu nieszczęściu podnoszą się protesty. Najgłośniejszym dotychczas był protest „jedenastu stowarzyszeń“, które przez skromność nazywają się kulturalnemi. Obecnie zakładają veto przeciw rynkowi Polacy z Paryża „powodowani wielką miłością dla stolicy(?) Polski“. Rynek, według nich, powinien być pusty — zapominają, że dawniej był prawie całkiem zabudowany. Dowodzą, że Matejko „bronił rynku przed wszystkimi pomnikami“, znów zapominając, że ów Matejko dał dwa projekty na pomnik Mickiewicza na... rynku. Zabawnie wogóle wygląda ten protest „paryski“ — czyżby autorowie jego sądzili, iż Polacy paryscy mają patent na nieomylność w sprawach sztuki? Tymczasem dla nas polscy paryżanie tyle znaczą co polscy rzymianie, polscy wiedeńczycy i t. d. a wszyscy razem są z tej samej mąki co polscy... krakowianie, warszawianie. poznańczycy. Owszem, co do mnie, wolę tych Polaków, co siedzą w Polsce. Co innego dawna stała emigracya z potrzeby, co innego dzisiejsza sezonowa dla przyjemności.

Lepiej, żeby polscy paryżanie zajęli się wyłącznie pomnikiem Mickiewicza w Paryżu. Francuscy estetycy nie przyjeżdżają do Krakowa, stąd też łatwo przeboleć będzie można ów wstyd przed Europą, że nasz brak pojęcia o pięknie zezwolił na postawienie Kościuszki na rynku — ale gorzej byłoby, gdyby paryski pomnik Mickiewicza był brzydki, stał na miejscu niewłaściwem i nic nie mówił. Wolałbym nawet, aby był brzydki, aby go nasi znawcy jako dzieło sztuki potępili, aniżeli, aby milczał. Dla nas dość, kiedy widzimy u siebie postać wieszcza w bronzie lub kamieniu, bo wiemy, kim był. ale dla „kulturalnej“ Europy, która się nie poniża do tego stopnia, aby zajmować się literaturą i historyą „barbarzyńskich“ narodów, potrzeba czegoś więcej, niż podobizny Mickiewicza. Artysta rzeźbiarz miałby tu trudne ale piękne zadanie, aby wyrazić, czem był Mickiewicz jako poeta i obywatel.

Lwów wezwał do składek tak na ten pomnik paryski, jak na pomnik Słowackiego. Zrobił bardzo dobrze, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby podpisy na tych odezwach nie nosiły cechy partykularyzmu. Kraków pod tym względem ma więcej taktu; jeżeli wydaje odezwę do całego społeczeństwa w sprawie ogólnej, a nie miejscowej, stara się o podpisy i z poza Krakowa.

Wyszła również zachęta do składek na zakupno domku Mickiewiczowskiego w Kownie. Przeciw tej myśli wystąpił Czesław Jankowski, dowodząc, że jesteśmy zbyt biedni, abyśmy sobie na podobne zbytki pozwalać mogli. Trudno podzielać to zapatrywanie w społeczeństwie, które (jak w Galicyi) ma miliony na wybory i (jak w Warszawie) na totalizatora. Kogo stać na takie zbytki, ten mógłby znaleźć jeszcze grosz i na domek Mickiewicza. Zresztą czy nie zafundowaliśmy sobie domu Matejki? Energia ś. p. Maryana Sokołowskiego wystarczyła, aby znaleść na to fundusze w samej Galicyi, niezbyt pochopnej do ofiarności, jeżeli nie idzie o wybory lub o matche footballowe. Zresztą nie potrzeba tu wielkiej kwoty. Wprawdzie właścicielka domku p. Wasiljewowa tak kocha tę pamiątkę, tak się z nią rozstać nie chce, tak ją sobie drogo ceni, że żąda za nią 40.000 rubli, ale rzeczoznawcy twierdzą, jakoby p. Wasiljewowa głównie oceniała wartość idealną domku, gdyż jego realna wartość wynosi zaledwie 2.000 rubli. Przypuśćmy, że znawcy są zbyt „tanimi kupcami“, że może dzienniki opuściły jedno zero, w każdym razie kwota potrzebna do zakupna tej pamiątki, nie jest taką, abyśmy przy dobrej woli zebrać jej nie mogli.

Nie pomnę tak smutnych wiadomości z Francyi, jak te, które nadeszły w ostatnich dniach przed świętami. Serce się kraje na samą myśl, że rozbito w jednym składzie 230.0.0 butelek tego boskiego trunku. A takich „rozbić“ było kilkanaście! Szampan lał się strumieniem po rynsztokach, kiedy u nas jest tyle mężów, pragnących lać go w gardła swoje. Ba! nietylko mężów, bo są damy, do których serc dopłyniesz jedynie na falach szampana. To też historya zapisze kwietniowe wypadki w Szampanii na swoich najczarniejszych kartach. Skutki ich dla ludzkości już odczuwać się dają: „flacha“, która kosztowała przed N. Rokiem 14 K, po N. R. (wskutek akcyzy) 17 K — ma obecnie kosztować 24 koron! Może nareszcie to podskoczenie ceny tego koniecznego artykułu żywności zmusi radców miejskich do przedsięwzięcia środków w celu zwalczania drożyzny. Pięknie o tem pisał w programie działalności oficyalny piękny organ wszechwładnych pięknych demokratów, niechże teraz piękni jego pełnomocnicy wprowadzą w czyn piękne jego słowa.

Szczęściem, że do wyborów szampan mniej potrzebny niż gorzałka. To też nastają dla niej świetne czasy. Co weźmiesz dziennik do ręki, to odczytujesz długie spisy kandydatów na obrońców naszej ściślejszej ojczyzny. Świeżo przybył nowy kandydat, którego nazwisko mile przyjęte zapewne będzie przez czytelników *Nowości*. Zwracałem już bowiem ich uwagę na opatrznościową rodzinę Kanarków, która zasila swemi latoroślami wszystkie stronnictwa g. licyjskie. Pan Rachmiel Kanarek jest konserwatystą, pan Mojżesz (ten od Paducha) jest ludowcem, pan (nie znam imienia, dość że równie Kanarek) występował jako demokrata krakowski w walce z komitetem urzędników. Obecnie dzięki *Gazecie Poniedziałkowej* dowiadujemy się, że „w Krakowie niemałe wrażenie (tak, tak!) wywołała deputacya wyborcza z okręgu Tarnobrzeg Rozwadów Mielec, która przybyła do p. Eliasza Kanarka z prośbą, aby ubiegał się o mandat. Pan Eliasz Kanarek, który dotychczas politycznie nie występował, podziękował za zaufanie i pozostawił sobie trzy dni do namysłu“. Oby się namyślił! Tyle kruków, jastrzębi, dudków, lęże się zawsze w Kole polskiem, że warto, aby miało ono choć raz prawdziwego Kanarka.

Powstanie Albańczyków.

Europa zajmuje się coraz bardziej sprawą rozruchów w Albanii, które mogą bardzo łatwo wpłynąć na zaostrzenie się stosunków między mocarstwami, a kto wie, czy nie doprowadzić nawet do jakiegoś niespodziewanego konfliktu. Najbardziej niepokojącą rolę odgrywa tu Czarnogóra, która mimo oficyalnych zaprzeczeń popiera jednak powstańców. Oddziały albańskie chronią się bez wszelkiej trudności za granicę czarnogórską przed pościgiem wojsk tureckich, znajdują tu wypoczynek i nowe zapasy żywności i amunicyi, w Podgoricy założono nawet szpital dla rannych Albańczyków.

Powstanie obejmuje głównie nadmorski wilajet skutarski, gdzie ogniskują się wpływy włoskie. Mieszkają tam koloniści włoscy, istnieje szereg szkół włoskich, duchowieństwo katolickie jest przeważnie pochodzenia włoskiego. Obecna ruchawka albańska znajduje też bardzo sympatyczny oddźwięk we Włoszech i zapewne wydatną pomoc materyalną. Jest to wynikiem stałego dążenia Włoch do usadowienia trwałego w Albanii i opanowania w ten sposób drugiego brzegu Adryatyku. Syn Garibaldiego zaczął już nawet organizować legion ochotników, mający pospieszyć z pomocą powstańcom. Zgłosiło się podobno około 12 tysięcy ochotników. Rząd włoski nie pozwoli jednak na wyjazd, gdyż byłoby to zbyt widoczne pogwałcenie neutralności.

Także i Austrya, która od wielu lat prowadzi w Albanii energiczną agitacyę i posiada tam wpływową partyę austrofilską, jest w wysokim stopniu zaangażowana w powstaniu albańskiem. Dowodem tego jest fakt, że zastępca ambasadora austryackiego w Konstantynopolu zwrócił się do rządu tureckiego z ostrzeżeniem, że w razie, gdyby powstanie albańskie trwało dłużej, Austrya będzie musiała obsadzić ponownie sandżak Nowobazarski.

Uderzającym jest fakt, że w powstaniu biorą udział prawie wyłącznie katolickie plemiona albańskie, prawosławni Albańczycy zachowują się neutralnie, mahometańscy zaś zdają się nawet przechylać na stronę Turcyi. Jeden z najwybitniejszych ich przywódców, słynny z zeszłorocznych swoich walk z Turkami, Issa Boljetinaz, powrócił teraz z Czarnogóry i pojednał się z rządem sułtańskim. Stwierdza przy tej sposobności, że ani on, ani jego towarzysze nie brali udziału w ostatnich wypadkach na granicy, natomiast może przedłożyć dowody, iż na czele Arnautów stali pod Tuzi oficerowie czarnogórscy. Jeśliby go wraz z towarzyszami ułaskawiono, przyrzeka dalsze rewelacye o stosunku Czarnogóry do powstania albańskiego.



Humanitarna fundacya: Uczestnicy inauguracyi fundacyi dr. Buzdygana; 1. hr. Andrzejowa Potocka; 2. namiestnik dr. Bobrzyński; 3. wiceprezydent dr. Szarski; 4. delegat dr. Fedorowicz: 5. hr. Branicki.



Humanitarna fundacya: Namiestnik dr. Bobrzyński podczas rozmowy z hr. Andrzejową Potocką.

Humanitarna fundacya.

W trzecią rocznicę tragicznej śmierci nieodżałowanej pamięci namiestnika Andrzeja hr. Potockiego, weszła w życie nowa fundacya humanitarna, stworzona jako „żywy pomnik" znakomitego obywatela, przez lekarza krakowskiego dra Mikołaja Buzdygana, który w ten sposób chciał oddać cześć pamięci ś. p. Potockiego.

Fundacya wspomniana ma na celu nieść pomoc i opiekę najbiedniejszym z biednych, bo drobnym dziewczątkom - sierotom, narażonym na najgorsze wpływy, a które dzięki hojnej ofiarności zacnego lekarza znajdą obecnie przytułek, opiekę i wychowanie w ochronie dla sierót, znajdującej się w Łobzowie pod pieczą Sióstr Miłosierdzia.

W ubiegłą środę odbyła się uroczysta inauguracya fundacyi, w obecności namiestnika dra Bobrzyńskiego, pierwszej kuratorki fundacyi, Andrzejowej hr. Potockiej i jej dzieci, grona arystokracyi, delegata Fedorowicza, wiceprezydenta dra Szarskiego, oraz grona zaproszonych osób. Przybywających do ochrony witał fundator dr Buzdygan, oraz siostra przełożona w otoczeniu zakonnic. Po mszy św., odprawionej w kaplicy domowej przez ks. Słomińskiego i po odprawieniu modłów za spokój duszy ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, przemówił serdecznie do zebranych ks. Słomiński, poczem obecni zwiedzili zakład cały, w którym znajdą pomieszczenie sieroty, przyjęte do zakładu na koszt fundacyi dra Buzdygana, na razie w liczbie 15, a od lata w liczbie 20.

Urządzenie całego zakładu jest pod każdym względem wzorowe, nie ulega też wątpliwości, że pożytek z szlachetnego czynu dra Buzdygana będzie ogromny.



Humanitarna fundacya: Namiestnik dr. Bobrzyński (X) z fundatorem drem M. Buzdyganem.

Zaznaczyć też należy, że na fundacyę wspomnianą przeznaczył czcigodny dr Buzdygan cały swój ciężką pracą zarobiony majątek w kwocie 200.000 kor.

Z uroczystości inauguracyi fundacyi zamieszczamy dziś szereg zdjęć.

Rozruchy „szampańskie".

W jednym z poprzednich numerów pisaliśmy o demonstracyach winiarzy z Bar-sur-Aube przeciwko wyłączeniu tego departamentu z okręgu szampańskiego. Demonstracye te odniosły skutek i senat rzeczypospolitej oświadczył się za przywróceniem dawnego stanu rzeczy. Uspokoili się właściciele winnic z Aube, ale oburzyli się niepomiernie mieszkańcy departamentu Marne, którym nowa ustawa przynosiła znaczne korzyści. Wybuchły tam groźne rozruchy, w których naturalnie, jak to zwykle bywa, na czoło wysunęły się najrozmaitsze podejrzane jednostki, z samą sprawą nie wiele mające wspólnego, a za to żądne wykrzyczenia się i dania upustu niszczycielskim instynktom.

Ruch zwrócił się przeciw fabrykom firm podejrzanych o to, że sprowadzają wino z poza Marny. W kilku miasteczkach rzucono się na ich składy, zdemolowano je, a zapasy szampana zniszczono. Całemi rzekami perlił się drogocenny płyn po ulicach. W samem Ay miano wedle obliczeń stłuc milion litrowych butelek. Wojsko, które wystąpiło przeciw burzycielom porządku i niszczycielom cudzej własności, początkowo zbyt było nieliczne. Dopiero po przybyciu znacznych posiłków stłumiono rozruchy.

Mimo to jest sytuacya prawie bez wyjścia, gdyż w razie utrzymania w mocy ustawy o „delimitacyi" zbuntują się znowu doprowadzeni do prawdziwej rozpaczy latami nieurodzajów i innych klęsk elementarnych mieszkańcy Bar sur Aube. Prezydent gabinetu Monis w interesie swych wyborców i własnym był dotąd za delimitacyą, obecnie zaś popadł w bardzo trudne położenie. Być może, że będzie musiał ustąpić. Co ewentualnie pocznie jego następca, przewidzieć niepodobna. Ale jakkolwiek skończy się ta paląca dla Francyi kwestya, jedno pewne: szampan podrożeje znacznie wskutek zniszczenia masy zapasów. Smućcie się, bon vivanci...



Rozruchy „szampańskie": Pochód demonstracyjny winiarzy.

Wystawa wyrobów wschodnich.

(Do illustracyi na str. 4).

W niedzielę 9 b. m. otwarto we Lwowie wystawę wyrobów wschodnich: chińskich, japońskich, indyjskich i t. d.

Młode a ruchliwe koło T. S. L. im. St. Wyspiańskiego, Młodzieży Wyższych Zakładów Naukowych, chcąc przysporzyć sobie dochodów i zapoznać ogół z wyrobami wschodnimi, uprosiło uczestników niedawnej wyprawy naukowej na Daleki Wschód: prof. dra E. Habdank Dunikowskiego, prof. dra E. Romera, dra J. Tokarskiego i dra J. Nowaka o wypożyczenie przywiezionych zbiorów na urządzenie wystawy.

Przy wydatnej pomocy profesorowej Romerowej wystawę urządzono wspaniale. Mała sala Instytutu fizycznego założona cała przepięknemi tkaninami jedwabnemi i bawełnianemi, chińskiemi makatami, tkanemi złotem, malowidłami na papierze, jedwabiu, gazie, porcelanie, misterne zabawki dziecinne chińskie i japońskie, indyjskie kunsztowne inkrustacye srebrem w bronzie, rzeźby w bambusie, kości słoniowej, talku, książki, atlasy, karty widokowe, monety — oto pobieżnie zestawiony obraz wystawy.

Szczególną uwagę zwracają wyroby półdzikich Sokkajów malajskich; są to potworki zlepiane z drobnych muszelek, praca nadzwyczaj misterna i żmudna. Dalej rzeźba z drzewa herbacianego, przedstawiająca bożka szczęścia Hatei Ski, młynek odmawiający pacierze, chińskie kompasy roboty ludowej i t. d.

Warto wspomnieć jeszcze o mapie japońskiej z czasów wojny z Rosyą.

Starodawny most.

(Do illustracyi na str. 4).

W pobliżu miasta Jerozolimy znajduje się nad rzeką Jordanem starodawny, drewniany most, o którym tradycya mówi, że jest najstarszym mostem w Palestynie, pamiętającym jeszcze czasy Chrystusa. Most ten jest cały zbudowany z drzewa i w ciągu wieków był wielokrotnie odnawiany. Z konstrukcyi boków wnosząc, należy przypuszczać, iż ta przynajmniej część mostu pochodzi z późniejszych czasów, belkowanie natomiast i cała dolna jego część, świadczy swą prymitywną budową o bardzo starodawnem pochodzeniu.

Jest rzeczą możliwą, że dziś nie ma w tym moście ani kawałka drzewa z tych czasów, kiedy tamtędy przechodził przez Jordan Jezus Chrystus. Ale przy naprawach i rekonstrukcyach pojedynczych części zachowywano zawsze styl właściwy. Drewniany pomost w dzisiejszej swej postaci sięga ze wszystkich części mostu najdawniejszych podobno lat.

Organizacya personalu hotelowego.

(Do illustracyi na str. 10).

Do szeregu istniejących wśród rozmaitych zawodów organizacyi, przybyła niedawno jako najnowsza i najmłodsza, organizacya personalu hotelowego pod nazwą „krajowego związku portyerów i personalu hotelowego".

Związek ten ukonstytuował się przed paru dniami we Lwowie, a z pierwszych kroków nowego wydziału wnosić można, iż będzie on gorliwie bronił interesów swoich członków.

Rycina w dzisiejszym numerze zamieszczona, przedstawia grono członków związku z wybranym właśnie wydziałem.

Ze sportu footballowego.

Wcześnie dość rozpoczęły w tym roku krakowskie kluby sportowe wiosenny sezon piłki nożnej, rozgrywając szereg matchów publicznych. Na pierwszy ogień poszła „Wisła", bijąc krakowski klub „Makkabi" 5:0 i drużynę „Przerów" z Przerowa także 5:0. Wnet potem stanęła do zawodów „Cra-



Humanitarna fundacya: Hr. Tarnowska z namiestnikiem drem Bobrzyńskim.



Rozruchy „szampańskie": Komitet winiarzy z departamentu Marne — w środku prezes Checque.

covia“ z „Raciborzem“ i zwyciężyła go w stosunku 13:0, a następnie z „Pogonią“ lwowską, która się również nie oparła graczom krakowskim i przegrała w stosunku 1:5. Równocześnie walczyła „Wisła“ z „Olympią“ z Pragi. Z dwu matchów tych drużyn jeden skończył się nierozegraną 3:3, drugi przegraną „Wisły“ 2:4.

Ogromne zainteresowanie wywołały dwa ostatnie matche, urządzone przez „Cracovię“ na boisku pozlotowem w czasie świąt wielkanocnych z praskim klubem „Deutsche Sportbrüder“. Klub ten należy do pierwszoklasowych, to też Krakowianie z niecierpliwością oczekiwali wyniku spotkania jego z klubem krakowskim. Istotnie matche te były niedniowe zawody są ponad ich siły, jak zresztą wskazują wyniki wszystkich dotychczasowych dwudniowych matchów tego klubu.

W każdym razie na podstawie ostatnich matchów „Cracovii“ należy stwierdzić, iż drużyna jej może się śmiało zaliczać do pierwszej klasy. Atak posiada zwinny i lotny, kombinujący bardzo dobrze pomoc wzorową, tak samo obronę a przedewszystkiem bramkarza w osobie p. Lustgartena, który ostatnio złożył nowy dowód, jak znakomitą jest siłą. Z tem większem też zainteresowaniem oczekują sportowe koła krakowskie dalszych spotkań „Cracovii“ z kilku pierwszorzędnemi drużynami z Wiednia, Pragi i Budapesztu.

Od r. 79 po Chr. naliczyć można około 60 wybuchów, każdy zaś bacznie śledzili uczeni, a obok nich liczni ciekawi, którzy częstokroć życiem płacili za przyjrzenie się zajmującemu i rzadkiemu widokowi. W r. 1872 zginęło ich blisko 300. Mimo to nie wahają się śmiałkowie zstępować w głąb krateru, a gdy przewidywany jest wybuch, gromadzą się licznie dla nasycenia oczu wspaniałym obrazem.

O ile potępienia godni są ci lekkomyślni, którzy z prostej ciekawości narażają w ten sposób życie, o tyle podziwiać należy badaczy, ryzykujących je w imię wiedzy. Wiele zrobiono na tem polu, seismografy zapowiadają już każdy zbliżający się wybuch, ale jeszcze nie wszystkie zjawiska są obja-



Z sezonu footballowego: Bramkarz „Sportbrüderów“, usiłujący bezskutecznie obronić bramkę przed celnym „strzałem“ jednego z graczów krakowskich.



Ze sportu footballowego: Drużyna „D. Sportbrüder“ z Pragi.

zmiernie interesujące, zwłaszcza match niedzielny, w którym „Cracovia“ odniosła świetne zwycięstwo, bijąc „Sportbrüderów“ w stosunku 6:1 (3:0). Zwycięstwo to było uwieńczeniem pięknej w całem słowa znaczeniu gry „Cracovii“, która atakowała przeciwników śmiało i energicznie a broniła się niemniej dobrze, wykorzystując wszystkie braki przeciwników.

Natomiast match poniedziałkowy przyniósł „Cracovii“ fatalną porażkę, wyrażającą się w cyfrach 0:3. Z jednej bowiem strony „Sportbrüderzy“ zapoznali się lepiej z terenem i z graczami, mogli też rozwinąć swój kunszt cały i pokazać piękną zaprawdę grę, z drugiej zaś „Cracovia“, wyczerpana forsowną grą z dnia poprzedniego, grała znacznie gorzej a nawet broniła się słabiej. Widocznie gracze krakowscy mają jeszcze za mało trainingu i dwu-

Groźny wulkan.

(Do illustracyi na str. 3).

Ze zgrozą i trwogą patrzą na Wezuwiusza mieszkańcy żyznych jego okolic. Zupełnie inaczej zachowują się wobec niego uczeni, którzy bacznie obserwują wybuchy, ważne dla nich ze względu na ustalenie praw przyrody, którym podlegają wulkany. Można wogóle powiedzieć, że Wezuwiusz ma już pewne zasługi wobec nauki. Pierwszy — i najgwałtowniejszy zresztą — znany jego wybuch wydarł jej wprawdzie Pliniusza Starszego, dał jednak badaczom kultury starożytnej możność oglądania życia Rzymian z pierwszego wieku po Chr. z taką dokładnością, z jaką oglądamy n. p. zakonserwowane w bursztynie żyjątka z przed potopu.

śnione i sklasyfikowane. Dlatego też wystąpił niedawno p. Immanuel Friedländer, zamieszkały w Neapolu, z projektem założenia tam międzynarodowego instytutu obserwacyjnego. Sześćdziesięciu wybitnych uczonych poparło tę myśl, a p. Friedländer przeznaczył na fundusz budowy 100 tysięcy koron.

Instytut taki byłby znakomitą szkołą dla wulkanologów. Miałby głównie za zadanie prowadzić stałą tabelę temperatury Wezuwiusza, analizować unoszące się nad nim gazy i notować nawet mniejsze trzęsienia ziemi o charakterze wulkanicznym, zachodzące często nawet, gdy Wezuwiusz nie grozi wybuchem. Jest powszechnem mniemaniem, że ta praca naukowa ułatwiłaby ochronę bliskich okolic przed wybuchami wulkanów, to też myśl inicyatora niezadługo przyoblecze się w ciało.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Kwadrat magiczny:

N i e d ź w i e d ź
M i t r y d a t e s
K l e m e n t y n a
R o z m o w n o ś ć
S t r y c h n i n a
H o l o f e r n e s
M o d r z e w s k i
S t a r o ś c i n a
C z a r o w n i c a
K a m i e n i a r z

Szarada: Łamigłówka.

Zadanie do przestawienia: Wolność Tomku w swoim domku.

Gwiazda magiczna:

T A B
a r r
d m z
N i g e r y a
z n n
n i s
o a z

Łamigłówka:

Bebe
Overbeck
Sardou
Aldona
Kallimach

Łamigłówka:

Pora
Rawa
Ikra
Mara
Arya
Adam
Prom
Rada
Igła
Lawa
Iwan
Stan

Zadanie do przestawienia: Dobra świnia wszystko strawi.

Szarada: Apostoł.

Kwadrat magiczny:

U m b r a
M u r a t
B r o n a
R a n e k
A t a k i

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S. Jaworski Rzeszow, M. Karpiński Sanok, M. Zacharska Lwów, A Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, O Górkowa Chyrów, J. Lewadowski Sanok, J. Łopatkiewicz Krosno, K. Kaim Kraków, S Kowalówka Kraków, J Lisowski Kołomyja, S. Bielawski Warszawa, T Górski Lwów, J Rozwadowski Wiedeń, M. Wyka Rzeszów, J. Kwaśniewski Piotrków, A. Bandrowska Częstochowa, K Świrski Sandomierz, W. Ostrowski Lublin, M. Pick Łódź, J. Wodziński Rzeszów, J. Czernecki Złoczów, D. Sedyńska Kraków, W. Potocka Kraków, J. Jakobowska Kraków, R Knapik Tarnopol, J. Konczyńska Bierzanów, K. Laurecki Sanok, M Lemiszewska Stanisławów, J. Krysakowski Lwów, J. Nowacki Rzeszów, T. Popiel Kraków, K. Gliński Kołomyja, H Piątek Podwołoczyska, M Więckowska Warszawa, S. Hubaczek Tarnobrzeg, I. Brzostowski Kraków, M Wojkowski Tarnopol, K. Wiewiórowski Janów, S Wilczkiewicz Jasło, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, J. Sanecki Poznań, J. Skalski Kraków, A. Stolarska Podgórze, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Frankowicz Warszawa, H Stopczyńska Lwów, M. Serwatowska Warszawa, J. Łopatyński Lwów, H Zielińska Rzeszów, M. Sonntag Łódź, J Bernstein Warszawa, S. Wasilewski Zakopane, J Jaworski Husiatyn, K. Żmigrodzki Warszawa, J. Dymnicki Tarnobrzeg, K. Fuchs Czeremchów, S Karwowski Poznań, H Komorowski Brzeżany, I. Hołubasz Stanisławów, K. Suchecki Zaleszczyki, J. Stępień Budapest, T. Mazaraki Radom, J Trepka Sandomierz, K. Cegielski Berlin, J Cisowski Lwów, M Czermiński Rozwadów, W Urban Lwów, J. Wilkosz Rzeszów, H. Morawska Warszawa, M Krawecka Rzeszów, K Lipowski Jasło, M. Dudek Cieszyn, H. Sperling Wiedeń, M. Gromnicka Lwów, J Kopacz Kołomyja, J. Klappholz Rzeszów, M. Barnat Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, M. Karlińska Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, C Zamorska Rzeszów, K Lindenbaum Kołomyja, J. Ohrenstein Czerniowce, A. Balicki Stanisławów, H. Grodecki Rzeszów, F. Walgórska Stanisławów J. Antosz Krosno, W. Engelberg Rzeszów, Ch. Warg Kraków, L Sobański Warszawa, F. Obraczay Przeców, J Rosenberg Łodź, K Heller Wiedeń, J. Maciejowski Kamieniec, H Malinowska Winnica, W. Thun Kalisz, M Kalinowska Piotrków, S. Tokarski Sambor, J. Łapiński Kraków, W. Olszańska Lwów, S. Bukowska Kijów, R. Dąbrowski Janów, K Turecka Tarnopol, M. Oleksiukowa Holeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **Marya Ołeksiukowa, Holeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Troska obecnego sezonu.

Wyrobiło się ogólne zdanie, że kapelusze obecnego sezonu są monstrualne. I rzeczywiście większość z widywanych na ulicy i po wystawach magazynów potwierdza w zupełności tę opinię. Możnaby przedewszystkiem powiedzieć, że obecna moda nie ma określonego typu kapelusza, przeciwnie widujemy na głowach współczesnych elegantek wszystkie epoki, od potwornych głów cukru, przypominających początki wieku XIV. — i renesansowe czółna i olbrzymie pastery z wieku Ludwika XIV. i girlandy drobnych róż, które ozdabiały pudrowane główki markiz z czasów Ludwika XV. i (o zgrozo!) naśladownictwa czepców sławnych „petroleuses" rewolucyjnych i przesadne turbany z czasów dyrektoryatu. Że nadto moda obecna dozwala, a nawet zaleca wielką barwność, nie ulega kwestyi, że każda magazynierka i każda dama, nie obdarzona odpowiednią miarą artystyczną, może łatwo przejść w przesadę i stworzyć coś, co jest szczytem śmieszności, gdy dążyła ku szczytom mody.



Kostyum „aero" w kolorze *bleu de lin*, rewersy, mankiety i spód spódnicy z aksamitu ciemno-szafirowego, przybrany galonem białym i guzikami z perłowej masy. Kapelusz z szafirowej pletni, rondo zewnętrzne z niebieskiej, bukiet drobnych róż w tonach mieszanych.

Ale magazynierka, mająca prawdziwy smak, potrafi, korzystając z szerokiej skali modnych kształtów kapeluszy i wspaniałych barw, jakie twórcy mody rzucili na jej tegoroczną paletę, stworzyć szeregi małych arcydzieł; coś, co będzie miało i barwność malarską i pożądaną różnorodność kształtu i miarę artystyczną.

Aby przekonać się o tem, wystarczy udać się na ulicę Szewską 23., gdzie na pierwszem piętrze ulokował się salon mód, pod godłem *Modes exquisites*. Już samo urządzenie niedużego salonu dowodzi wielkiego smaku; meble Louis XV., lekkie draperye, *bouquets monstres* sztucznych kwiatów, a między nimi też jak kwiaty, motyle i obłoki, kapelusze, wzory gustu, wdzięku i lekkości.

Tu prześliczny *directoir*, kształt czapeczkowy (niezmiernie podnoszący wdzięk okrągłych twarzyczek), podbity białemi valencienkami, rondo pokryte



Kapelusz z „tagali" w kolorze śliwkowym w tonie ciemnym i jasnym, przybrany aksamitnymi liśćmi w kolorze czerwonym.

fiołkami, główka z gazy w dwóch tonach lila i zielonej, jak wiosenna łąka, ranną mgłą przysłonięta.

Tam olbrzymi Rembrand przybrany 6 *pleureusami* i galonem dżetowym.

Obok Rembrand biały, podbity jedwabiem *chantilly*, pokryty całą masą róż w tonach od blado różowego do ciemno-wiśniowego. Kokarda z wstążki *chiné* dopełnia całości.

Dalej fason z pletni w tonie *argent-oxidé*, rondo otoczone wspaniałymi bratkami w kolorze *fraise écrasée*, których olbrzymi pęk zdobi też główkę.

Tu znów niezmiernie oryginalny fason z paciorków lśniących zielono pleśniowych, brzeg i główka z czarnej koronki *chantilly*.

Dla kogoś, co lubi większą barwność, mamy obok duży kapelusz koloru *mauve* z czarnym brzegiem ronda, przybrany wstążką i bzami o kilku tonach *lila-rose*.

Koroną jednak tych wszystkich cacek była zdaniem mojem ogromna pastera z czarnego włosia, opasana bortą z bladych, płaskich korali, misterna klamra z dżetu i korali przytrzymuje na przodzie dwie olbrzymie *pleureus'y*, jedną mającą 75, a drugą 85 cm., które opuszczają się z ronda, ruchome, lekkie, czułe na każdy powiew wietrzyka.

Gdy podziwiam to arcydzieło sztuki, uprzejma właścicielka magazynu objaśnia mnie, że pióra te niezmiernie kosztowne, mają dobrą stronę nierozfryzowywania się i wytrwałości, są to bowiem poszczególne źdźbła piór strusich, benedyktyńską iście pracą utwierdzone, każde z osobna, na żeberku *pleureus'y*.

Jeszczem nie ochłonęła ze zdziwienia, że taką oazę mody znalazłam na bocznej ulicy Krakowa, gdy o dwa domy dalej spotrzegłam wystawę, nęcącą oko swym wdziękiem i gustem. To magazyn *Parisienne*. W oknie 4 kapelusze, jeden piękniejszy od drugiego.

Z brzegu fason hełmowy, pokryty koronką *point lacé* żółtawą, przerabianą złotem, 2 *pleurus'y* i ruszka z aksamitu, podbicie z valencienek.

Obok skromny hełmik z pletni liliowej z pleśniową, przybrany dwiema ruszami z wstążki w tymże kolorze.

Przy nim „napoleonik" z jedwabiu *fraise*, rondo z liści, główka pokryta różami w tonach, piękny rajer dopełnia całości. Wyobraźnia wkłada pod ten kapelusz jakąś jasną główkę i twarzyczkę młodą, okrągłą i aż się śmieje do tej ślicznej całości.

Wreszcie duży, czarny *tagalowy*, otoczony złotym galonem z aksamitką i przybrany 2 strusiemi piórami.

Weszłam do środka, obejrzałam kilkanaście kapeluszy i nie znalazłam między nimi ani jednego przesadnego.



Suknia z białego płótna, ozdobiona haftem angielskim.

Zatem, szanowne Czytelniczki, nie desperujcie z góry wobec konieczności kupienia kapelusza, że moda zmusi Was do włożenia czegoś monstrualnego, wiedząc, że modniarka, obdarzona prawdziwym gustem, potrafi wypłynąć szczęśliwie nawet z pomiędzy takiej Scylli i Charybdy, jakiemi są modna różnokształtność i różnobarwność.

NADESŁANE.

W każdym wypadku epilepsyi, którą leczyłem „Epilepticonem“ wyrobu apteki „pod Łabędziem“ w Frankfurcie n. M. osiągłem dobry skutek, pisze Pan radca zdrowia Dr. med. P. — Szczególnie w jednym bardzo ciężkim wypadku, gdzie napady do sześciu godzin trwały i co każdy trzeci lub czwarty dzień się powtarzały, osiągłem przez powyższy środek, że napady już od kilku miesięcy ustały. Naukowe pouczenie otrzymać można bezpłatnie w głównym składzie w aptece Fort. Gralewskiego, Kraków 109.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Od piątku 21. do czwartku 27. bm. nowy sensacyjny program. Oprócz niezrównanego „Żurnalu Pathego“, aktualnego przeglądu najważniejszych wydarzeń ostatniego tygodnia, „Życia Mojżesza“ i kilku obrazów treści humorystycznej, atrakcyą programu będzie film artystyczny, długości 1200 metrów, pod tyt: „Syn marnotrawny“. Dramat ten o niesłychanej sile naturalistycznej przesuwa przed oczyma widza wstrząsające obrazy życia młodego utracyusza, który porwany wirem wielkomiejskich pokus traci majątek i honor, wkońcu jednak poprawiony powraca na łono społeczeństwa.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Lowy Gottlieb, Kraków: Nadesłana szarada nie nadaje się do druku. Poszła wobec tego do kosza.

WP. S. Urbański, Kraków: Nadesłane nam przez Czytelników zagadki i szarady, o ile nadają się do druku, umieszczamy zawsze. Łatwo przydarzyć się może, iż w naszej tece znajdzie się jakaś zagadka, która była już kiedyś pomieszczoną w jakiemś innem piśmie, trudno bowiem wymagać, aby referent zagadkowy znał wszystkie, jakie w polskich pismach pomieszczone były w ostatniem dwudziestoleciu! Redakcya wobec tego winy żadnej nie ponosi.

WP. M. J. Lefas, Warszawa: Zastosujemy się do życzenia. Na ten sam temat wolno każdemu układać zagadki, pomieszczamy je, o ile odpowiadają warunkom, choć zdarza się nieraz, że ten lub ów przesyła nie swoją pracę. Na to niema rady.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

54

— *Hallo!* Terrade! — dodał miliarder. — Dlaczego patrzy pan na mnie takiemi oczami? Czy dlatego, że nazwałem przyjacielem złodzieja z zawodu, który mi oddał przysługę? Ależ, mój drogi, ja codziennie nazywam tak całą masę businessmanów, stokroć większych złodziei, którzy nie zrobili mi żadnej usługi! Czy uważa pan, że operacya na giełdzie, wskutek której zostało zrujnowanych tysiące biednych osób, jest szlachetniejszym czynem od włożenia wytrycha do kasy ogniotrwałej jakiego bogatego kapitalisty?

— Istotnie... nie... — przyznał inżynier.

— A gdy taki giełdziarz przychodzi do fabryki, by kupić sobie samochód, czy odmawia mu pan podania swej ręki? A więc?

I Amerykanin zamienił silny *shake hand* ze złodziejem.

— Ach! panie! — szeptał w zachwycie rozczulonym głosem Panajon. — Ofiarowałem panu skórę Maksyma Dureta... teraz ofiaruję swoją... Gdy pan będzie jej potrzebował, proszę dać tylko znak...

— Dziękuję — odrzekł Lewis Jackson. — Na razie zajmijmy się naszą chorą. Chodźmy.

Wyszedł z hali razem ze swymi gośćmi.

— Ale proszę nie zapominać, że obecnie jestem Anglikiem, Johnem Harris...

— Może być pan spokojny... Ale dlaczego zmieniając nazwisko, nie zmienił pan i twarzy?...

— Po co?

— Pierwszy lepszy może pana poznać... Dzienniki zajmują się tylko panem...

— Tak, ale nie podają mojej fotografii... Dosyć jest fotografii Karola Turnera, jak i innych osób, których rolę odgrywałem... Niema jednak wcale fotografii Ernesta Panajona.

— Nawet w biurze antropometrycznem?

— Nawet i tam nie... Stawiali mnie przed aparatem, ale za każdym razem skrzywiłem się do niepoznania.

— Dobrze! Publiczność pana nie zna. Ale ajenci?

— Dwóch lub trzech, między innymi i Loustan widzieli mnie w rzeczywistej postaci, ale nie więcej...

— A jeżeli pana spotkają?

— Eh! — odparł złodziej obojętnie — byłby to rzadki wypadek... Paryż nie jest prowincyonalną dziurą... A zresztą mam dobre nogi i znam się na wybiegach... Mogę wreszcie spokojnie pozostać samym sobą... I chcę nim być możliwie jak najdłużej — dodał tonem sentymentalnym, spoglądając na Ewę. — Podobam się w tym stanie temu dziecku...

Dawna prasowaczka zaczerwieniła się aż po białka. Panajon umilkł zaraz i stał się poważnym. Miliarder pukał delikatnie do drzwi, z poza których odezwał się głos Kamilli.

Lewis Jackson ze swem towarzystwem wszedł do pokoju Ludwiki. Kamilla siedziała koło niej na kanapie i trzymała ją za ręce.

Na widok wchodzących młode panny powstały. Ludwika utkwiła na chwilę swój błędny wzrok w przybyłych, potem, nie poznając nikogo, odwróciła się.

— Jak się czuje? — zapytał miliarder.

— Zawsze jednakowo — odpowiedziała Kamilla. — Rozumie, co mówię, ale bardzo mało... Nie wie jeszcze, kto jestem...

— Chciałabym ją pocałować — szepnęła Ewa.

— Nikt pani nie zabrania tego — odpowiedział Lewis Jackson.

I dodał dla Kamilli, która nic jeszcze nie wiedziała o istnieniu młodej prasowaczki:

— Pani jest przyjaciółką panny Dubois...

Uznał za dostateczne to przedstawienie. Co zaś do eleganckiego mężczyzny, który towarzyszył tej pani, to nie wspomniał o nim ani słowa, uważając, iż lepiej na razie wcale o nim nie mówić.

Ewa podeszła do swej dawnej towarzyszki. Pocałowała ją w oba policzki bardzo delikatnie, jakby z obawą. Potem cofnęła się ze łzami w oczach, szepcząc:

— Mam wrażenie, jak gdyby już była nieżywą...

Ludwika z miną zdziwioną nie odpowiedziała na pocałunki. Zresztą zaraz o nich zapomniała. Usiadła na kanapie i zaczęła bawić się jak mała dziewczynka falbaną swej sukni. Piotr stał bardzo blady; nerwowe skórcze marszczyły mu co chwila twarz.

— Proszę poprosić tu lekarzy — rzekł Lewis Jackson do jenej z infirmerek. — Są oni w salonie Ludwika XVI.

W chwilę potem weszli czterej alieniści.

— Proszę panów — rzekł miliarder, zwracając się do zagranicznych profesorów — panów kolegom francuskim opowiedziałem już wypadki, które przyprawiły pannę Dubois o obłąkanie... Czy panowie są już o wszystkiem poinformowani?

— Tak, panie — odpowiedział Balazzo. — Wiemy wszystko.

— Wszystko?... — nie mogła powstrzymać się od powtórzenia Kamilla.

Zbladła i rzuciła na Maurycego spojrzenie pełne smutku.

— Lekarze są zarazem spowiednikami — odparł inżynier.

— Och! — dodał Lewis Jackson. — Nie wymieniałem żadnego nazwiska. Bohaterowie tego dramatu zostali określeni w mem opowiadaniu jako X, Y i Z...

— Nasi koledzy — rzekł uczony niemiecki — podzielili się także spostrzeżeniami, jakie poczynili nad chorą... Jesteśmy więc, kolega Balazzo i ja, o wszystkiem poinformowani...

Lekarze rozmawiając, przyglądali się jednocześnie z daleka obłąkanej.

Sławny profesor włoski pierwszy podszedł do niej i rzekł:

— Pani...

Wzrok młodej panny błądził po pokoju.

— Panno Ludwiko... — powtórzył znowu uczony.

Oczy Ludwiki zatrzymały się na tym starym panu w okularach i o siwej brodzie, który stał przed nią.

— Widziałem przed chwilą pani przyjaciela, Piotra Cartelegue'a...

Przy tem zdaniu lekarza, Ludwika podniosła się i wyciągnęła ku niemu ręce.

— Czeka na panią na dole... na ulicy... — ciągnął dalej Balazzo.

Ręce młodej panny zaczęły drżeć.

— Na dole... — szepnęła. — Czeka na mnie...

Skierowała się do drzwi, odsuwając Ewę i Maurycego, którzy stali na drodze. Odsunęła również tym samym ruchem delikatnym a zarazem niecierpliwym i Piotra Cartelegue'a, który stał między nią a drzwiami. Wreszcie podeszła do nich i chciała je otworzyć, gdy Balazzo ją zatrzymał.

— Proszę tutaj — rzekł jej.

Lekarze wszyscy razem podprowadzili ją do okna i tu przy świetle badali jej oczy i wyraz twarzy. W pokoju panował najzupełniejszy spokój. Balazzo dotykał ręką kości jej twarzy i czaszki.

Nagle profesor medyolański zwrócił się ku Lewisowi Jacksonowi i rzekł:

— Nie powiedział nam pan, że chora jest pańską krewną...

— Moją krewną?... — powtórzył miliarder. — Ależ ona wcale nią nie jest!

— Ach!...

Uczony podszedł do businessmana i wziął go obiema rękami za szczękę.

— *Hallo!* — rzekł amerykanin trochę zmieszany. — Czego pan doktor chce ode mnie?

— Tak... Słusznie mi się to wydawało — mruczał do siebie Balazzo.

— Co takiego? — zapytał miliarder.

— Pan wie, że na równi z psychiatryą zajmuję się i antropologią... Gdy też kogokolwiek zobaczę nowego, przyglądam się bezwiednie z przyzwyczajenia kościom jego twarzy i formie czaszki...

Well! Więc co?

— I znalazłem dziwne podobieństwo między dolną szczęką pana a panny Dubois... A ponieważ mają państwo jednakowe szare oczy, wywnioskowałem stąd o pokrewieństwie pana z chorą...

Wszyscy spoglądali to na miliardera to na Ludwikę.

— Tak... W istocie... Jednakowy kolor — szeptało kilka głosów.

— Jest to wobec tego tylko dziwny wypadek — zakończył uczony.

Odszedł od Lewisa Jacksona i wracał do Ludwiki. Spojrzał jednak po drodze na Panajona i zatrzymał się.

— Oto jeszcze jeden ciekawy wypadek — rzekł — który mógłby nas wprowadzić znowu w błąd. . Ach! antropologia nie może się jeszcze nazwać ścisłą wiedzą!

Profesor zbliżył się do wzmiankowanego Johna Harrisa i dotykał się palcem kości jego twarzy, mówiąc:

— Tutaj... tutaj... i tutaj... są charakterystyczne oznaki...

Przerwał i zapytał pana domu:

— Pan jest jednym z pańskich przyjaciół?

— Bardzo dobry przyjaciel! — potwierdził miliarder.

— Dobrze!.. Dyagnostyka więc moja nie pociągnie za sobą żadnych następstw... Jest już z góry błędną... W trzech punktach tej twarzy widzę charakterystyczne oznaki zbrodniczości... Pisałem o nich w 1875. roku w jednej ze swych prac.

Panajon zażenowany potoczył się bezwiednie w tył. Mimo swej zwykłej pewności siebie, czuł się zmięszanym.

— Widać z tego, jak łatwo można się mylić — zakończył z uśmiechem sławny uczony. — Wróćmy do naszej chorej.

I podszedł do okna, przy którem stała Ludwika z jego kolegami.

Między psychiatrami zawiązała się zaraz po cichu długa rozmowa. Potem odeszli od młodej panny i po kilku jeszcze zdaniach, zamienionych z kolegami, Balazzo zwrócił się do Lewisa Jacksona:

— Dzisiaj wieczorem zbierzemy się znowu i zbadamy jeszcze raz chorą.

— Nic jeszcze nie mogą nam panowie powiedzieć? — zapytał miliarder.

— W każdym razie nie wiele...

— Czy mają panowie jaką nadzieję wyleczenia?

— Tak...

— Doktorze! — zawołali wszyscy razem. Kamilla i Ewa złożyły ręce. Piotr podniósł swoje do góry. Twarz Maurycego rozjaśniła się. Panajon odetchnął głęboku z ulgą.

— Ale jeszcze za nic nie ręczymy! — pośpieszył dodać profesor. — Co zaś do sposobu leczenia, to jeszcze nie wiemy, który przepisać. Jest jedno lekarstwo cudowne...

— Jakie? — zapytał Lewis Jackson?

— Wzruszenie... Wzruszenie bardzo żywe, a zarazem i bardzo miłe.. Skutek jego może być decydujący... Ale niestety! wzruszenia nie można zapisywać na recepcie, jak pigułki... Tego lekarstwa nie można dostać w żadnej aptece...

— Jak również żaden kupiec narzędzi chirurgicznych nie ma do sprzedania lancetu do operowania duszy — dodał uczony niemiecki.

— Nie traćmy jednak nadziei — zakończył lekarz od świętej Anny — że uda nam się przywrócić zdrowie pannie Dubois!

I czterej uczeni wyszli razem, powtarzając, że powrócą wieczorem. Lewis Jackson odprowadził ich do schodów.

— Sapristi! — zawołał nagle miliarder, gdy lekarze schodzili. — A moi malarze! pewnie się tam niecierpliwią!

I wielkimi krokami poszedł szybko do salonu wschodniego, w którym trzech mistrzów palety od dwóch już godzin oczekiwało go z ciągle wzrastającą niecierpliwością.

Nie czuli się oni dobrze, siedząc razem w tym salonie. Byli oni wszyscy trzej sławni, bogaci, udekorowani orderami, wzajemnie się jednak nie lubili i jeden drugiemu zazdrościł wziętości. Gniew też ich był wielki, gdy przybywając do pałacu, zastali tam swych rywali. Rozeszliby się zaraz z pewnością, gdyby nie to, że znajdowali się u miliardera. Oczekując na przybycie pana domu i na wytłómaczenie tego zaproszenia ich razem, siedzieli w rogach salonu, jak najdalej jeden od drugiego.

Przy wejściu businessmana powstali zadowoleni, lecz zaraz zmarszczyli brwi.

— Czy pan Jackson prędko przyjdzie? — zapytał najstarszy z nich, prawdziwy atleta z wyglądu, o siwiejącej brodzie, z wielkim krawatem, zawiązanym w kokardę.

— Ja jestem Lewis Jackson.

Na słowa te zdumieni malarze skłonili się.

— Mało znam się na sztuce — rzekł businessman — powiedziano mi jednak, że panowie są obecnie najlepszymi portrecistami w Paryżu...

Żaden z mistrzów nie był zadowolony tą pochwałą, która jednocześnie stosowała się i do jego kolegów.

— Chcę zamówić u panów portret — mówił dalej Lewis Jackson.

Lucyan Wiktor Lourmier, atleta o długiej brodzie, przerwał:

— Przepraszam... Pozwoli pan zadać sobie naprzód jedno pytanie...

— Proszę!

— Dlaczego jednocześnie ze mną wezwał pan tutaj i panów Targona i Palarisa?

— Tak — dodali tamci artyści. — Dlaczego?

Lewis Jackson wyjął z kieszeni portfel i dostał z niego fotografię, którą mu przedwczoraj dał Piotr Cartelegue.

— Ponieważ panom chcę powierzyć — rzekł — odtworzenie tych oto rysów...

Podał artystom fotografię i mówił dalej:

— Panowie mają pędzle magiczne... Mogą więc mi panowie tę małą bezbarwną fotografię zamienić na portret naturalnej wielkości, któryby wydawał się żywy w swych ramach?

— Czyż pan chce — zapytał Targon — byśmy wspólnie pracowali przy jednym obrazie?

Nie miał on takiej postawy i miny, jak Lucyan Wiktor Lourmier. Chciał uchodzić raczej za człowieka światowego, skończonego klubowca. Wyrażał się też bardzo delikatnie. Pod tym jednak zewnętrznym chłodem czuć było, jak się wszystko w nim gotuje.

Lourmier i Palaris nie starali się nawet ukryć swego oburzenia.

— To niemożliwe!... Niemożliwe! — powtarzali energicznie razem.

— Każdy z panów wykona swój obraz — odparł im spokojnie Lewis Jackson.

— Każdy swój!... — powtórzył Targon.

— Pracować jednak będą panowie razem, ponieważ model jest tylko jeden.

— Przepraszam! — rzekł Palaris. — Dlaczego w takim razie nie oddał mnie pan naprzód modelu, to jest fotografii?... Gdy mnie już nie będzie potrzebna, otrzymaliby ją ci panowie.

— Za długo toby trwało — przerwał miliarder. — Nie. Panowie będą malowali razem, tutaj, w wspólnej pracowni.

— Ależ... — zaprotestowali jednocześnie wszyscy trzej mistrze.

Businessman, nie pozwalając im dokończyć, dodał:

— Za każdy obraz zapłacę sto tysięcy franków... A ten, który będzie najpodobniejszy, przyniesie ponadto autorowi w nagrodę milion franków.

— Milion? — powtórzyli razem rywale.

— Kiedy panowie wezmą się do pracy?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko znanego polskiego malarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
□
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Znany krzew ogrodowy. 3. Artysta cyrkowy. 4. Ryby morskie. 5. Część głowy. 6. Starożytny pieniądz. 7. Zwierzę azyatyckie. 8. Spółgłoska. 9. Pożyteczna roślina. 10. Znana w Polsce rodzina aktorska 11. Sportsman. 12 Wyższa ranga wojskowa. 13. Naród słowiański w Europie. 14. Poemat Słowackiego. 15. Spółgłoska. 16. Mieszkańcy Afryki

Szarada.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Pierwsza z drugą mówi śmiele,
O jakimś kościele,
Trzecia sama powie tobie
O trzeciej osobie
A wszystko razem,
Gdy jest obrazem,
Z zamierzchłych wiedzie toni
Człowieka z berłem w dłoni.

Krzyż magiczny.

Ułożył A. Szuber, Zbaraż.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a
a a a
a a e
e k k k k k k
k k k l l n n o o
o o r s s t t
t t t
t u y
y

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej poprawianie. 2. Zbierający datki. 3. Rośliny o dziwacznych kształtach, mięsiste, bez liści.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd czytany z dołu do góry poda nam nazwisko miejscowości, pamiętnej bitwą, która wypadła nieszczęśliwie dla Polaków.

□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Nauka o owadach. 2. Hetman polski. 3. Stolica jednego z krajów koronnych austryackich. 4. Miasto w Niemczech. 5. Syn Giedymina. 6. Bohaterka żydowska. 7. Historyczny podział czasu. 8. Wyżyna w Małej Azyi. 9. Drzewo szpilkowe. 10. Miara powierzchni. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Duża stolica Kraków, wyjec, hip, w.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Wyrazy odpowiednio uzupełnić. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko dwu uroczystości ludowych, obchodzonych w Krakowie w tygodniu poświątecznym.

s — m
e — s
k — t
s — m
o — a
k — r
o — t
l — k
o — a
w — r
i — a
a — t
l — k

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Maj, zebu, Nida, uda, ge.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryana Jastrzębca:* **W obronie czci Jasnogóry.**

Magazyn Krawiecki M. Czaji i W. Rechowicza

KRAKÓW Mikołajska L. 24

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

Handel towarów kolonialnych, delikatesów i win.

Poleca: Szynki pragskie i krajowe, kiełbasy tuchowskie znane z dobroci. **Drób styryjski tuczony** oraz towary kolonialne, owoce połudn., wina, koniaki, likiery, wódki, nalewki własnego wyrobu. Masło deser. i kuchenne. Bakalie warszawskie.

Towar doborowy. **Ceny najniższe.**

pod firmą

Kazimierz Huét

w Krakowie, Floryańska 23.



Dokładna robota jest to dobry patent!

KNAPIŃSKI

Zakład własny wyrobów ortopedycznych

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Kraków, Mikołajska 7.
Telefon 505.



Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Zofii M., Tarnopol. Otrąbki abaridowe-odpadki z cebulek białej lilii, nie mają nic wspólnego z migdałowymi. Przy myciu i w działaniu na udelikatnienie i świeżość cery nie mają dotychczas sobie równych, o czem twierdzić można z doświadczenia bardzo licznych odbiorców i podziękowań.

Pani S O., Przyznaję, że autorytet p. Marcele jest zupełną rękojmią, że zalecony krem tejże nazwy okazał się bardzo dobrym. Jakkolwiek wyrabia go firma Malinowskiego, znana z dobroci mydeł, jest on przygotowywany według recepty Prof. Debay'a. Rękawiczki kosmetyczne nienasycane używa się tylko na noc. — Błyszcz amerykański, w postaci cegiełek, zwany Lustrirt będzie najstosowniejszy. Do cegiełek dodaje się płyn, który zapobiega kruszeniu się paznokci. (2)

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można

we Lwowie, ul. Akademicka L. 21

w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Tanie czeskie **PIERZ…**



5 kilo …wego, dar…go K 9·6… lepszego K 12. biał… dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego …tego miękk. jak puch 30 i 3… Wysyłka franko za zaliczką, …miana i zwrot opłatnie dozwol…

Benedykt Sachsel, Lobes N. 2… obok Pilzna, Czechy.

Najtańsze maszyny do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy

J. F, Nouzák, Prag (Czechy) **Riegerquai 24/47.**

Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Polecamy Szan. Publ. nasze artyst. ubrane lalki w ludowych strojach i prosimy o nabywanie tychże, przez co wyrób swojski się rozpowszechni.

Pierwsza krakowska fabryka lalek
Kraków, ul. Wolska L. 1.



Są na składzie w cenie od 90 hal. do 30 kor.

Udawadniamy

ustawicznie kupującej publiczności, że pomimo ciągłego podrożenia cen, posiadamy na składzie **po cenach nizkich tylko towar wyborowy.**

Prosimy o podanie zapotrzebowania **na sezon letni, Zielone święta,** do **bierzmowania** lub **podróży,** a wyślemy natychmiast naszą bogato zaopatrzoną

Kollekcyę próbek materyałów

która zawiera **najnowsze ubiory damskie** i materyały na bluzki od najlepszych do najtańszych gatunków także płóciennych, bawełnianych etc., jak również wspaniałe

illustrowane zeszyty mód

zaopatrzone w **najnowsze modele strojów damskich, konfekcyi, bluzek, kapeluszy** etc., dalej przyborów domowych, kuchennych i artykułów gospodarskich **bezpłatnie.**

Wielki Magazyn „Au Prix Fixe“
Wiedeń I., Graben 15/8,
wejście **Habsburgerstrasse 1.**



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru. Podejmuje się wykonania grobowców w mieście i na prowincyi.

Rentowny wyrób likierów!

Renomowana firma fabryczna podejmuje się urządzenia pracowni do wyrabiania likierów **według praktycznej metody** reflektantom, którzy posiadają odpowiednie lokale i rozporządzają odpowiedniem kapitałem. **Wysoki zysk udowodniony.** Bezpłatna informacya, koncesya oraz gruntowne wyszkolenie przez wypróbowanego fachowca na miejscu.

Tylko poważne zgłoszenia pod **„Spirituosen 90453“** do

M. Dukes Nachf. Annoncen-Expedition Wiedeń I., Wollzeile 9 zostaną uwzględnione.



NAJLEPSZE

LAKIERY i EMALIE

FIRMY

L. BARANOWSKI

W KRAKOWIE.

Wszędzie do nabycia.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście: Saxonia:** d. 18 kwietnia 1911. **Pannonia:** dnia 2 maja 1911, **Carpathia:** d. 16 maja 1911.

Z Liwerpolu: Lusitania: (najwiekszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 29 4, 20 5, 10 6, 8 7, 29 7 1911.

Maurytania: dnia 22 4, 13 5, 3 6, 24 6, 22 7 1911.

Spis najnowszych zdjęć na 29 cm. dwustronnych (do szafiru) **płytach Pathé po kor. 4·50**

84346	Ave Maria	Boninsegna, sporan.
84347	Legenda Valacca	„ „
84138	La forza del Destino	„ z chórem
84141	Trovatore, Miserere	„ i Scampini, z chórem
84142	Trovatore	Scampini, tenor, z chórem.
84150	Africana,	„ „ „
84143	Samson i Dalila	„ „ „
84144	„ „	„ „ „
84145	Otello, śmierć,	„ „ „
84146	„ monolog	„ „ „
84140	La forza del Destino,	Boesmi, bas z chórem.
84147	Aide, Finale,	„ i Scampini.
84147	Aida, Finale.	Boesmi i Scampini.
84148	Fausto, Cristo risuscito, chór la Scala.	
14784	Dzwony klasztorne, orkiestra. Torreador.	
51745	Marzenie, solo na cytrze. Płynące łzy.	

Najnowsza technika zdjęć i wspaniałe głosy artystów złożyły się na zachwycającą całość. Nadto nowości francuskie i niemieckie. Na prowincyę wysyła się płyty do wyboru za zaliczką połowy.

S. Grudziński i T. Berger, Kraków, ul. Szewska L. 10|2

Ulepszona membrana koncertowa z aluminium (K 25) daje niebywałą czystość i siłę tonu. Nadaje się do każdego Pathéfonu. Każdy gramofon można przerobić na Pathéfon kosztem nabycia membrany Pathé za K 10·—.

Na wiosnę POLECA Zygmunt Ślimakowski

Kraków, Rynek gł. Linia A-B (obok gł. trafiki).

Bluzy, Halki, Pończochy, Rękawiczki, Żaboty, Kołnierze, Welonki, **Torebki,** Boa i Pióra strusie, Szale, **Żakiety włóczkowe,** Parasole. Najmodniejsze przybrania do sukien i przybory do szycia. **Ceny nizkie! Towar doborowy!**

Pierwszorzędny Zakład pogrzebowy i fabryczny skład trumien J. HORAK

Kraków, Mikołajska l. 14. Telefon 248.

Wspaniałe urządzenia pogrzebowe, ekshumacye, sprowadzania, przewozy zwłok. — Ceny **umiarkowane — Rzetelna obsługa.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.